

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Jeleniej Górze





Regionalna Pracownia Krajoznawcza Karkonoszy

TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH W JELENIEJ GÓRZE

3(7)/2016
Zeszyty Historyczne



Bukowiec 2016

Seria wydawnicza:
Zeszyty Historyczne

Redakcja
KRZYSZTOF TĘCZA

Współpraca
WITOLD SZCZUDŁOWSKI

SKŁAD
Wydawnictwo-Poligrafia AD REM
www.adrem.jgora.pl

DRUK
Związek Gmin Karkonoskich

WYDAWCA
Związek Gmin Karkonoskich
PAŁAC BUKOWIEC
58-533 Mysłakowice
ul. Robotnicza 6
www.karkonosze.eu

© by Związek Gmin Karkonoskich, 2016

ISSN 2449-741X

Zdjęcie na okładce: Podskale na Ukrainie (*fot. Krzysztof Tęcza*)

Wszelkie prawa zastrzeżone. Publikacja i kopiowanie całości lub części wyłącznie za pisemną zgodą wydawcy.

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

*Ósma publikacja Regionalnej Pracowni Krajoznawczej Karkonoszy
przy Związku Gmin Karkonoskich w Bukowcu*

Wprowadzenie

Dla każdego człowieka w życiu, poza rodziną, najważniejszym jest miejsce gdzie się urodził, wychował, chodził do szkoły, dorastał. Najczęściej jest to miejscowość, czasami ulica, czasami kraina, jednym słowem „Mała Ojczyzna”. Nic więc dziwnego, że po zakończeniu II wojny światowej, gdy w wyniku porozumień politycznych wyznaczono nowe granice w Europie, znaczna część przedwojennych terytoriów Rzeczypospolitej weszła w skład innego państwa, jego mieszkańcy, wysiedleni ze swoich domów, przybywszy na tereny nowej Polski, tęsknili za swoimi domami, ulicami, miastami. Tęsknili tak bardzo, że zaczęli zakładać różnego rodzaju organizacje skupiające takich jak oni „przesadzonych” na nowy grunt. Organizacje te miały na celu kultywowanie zwyczajów obowiązujących na utraconych ziemiach, zwanych teraz Kresami. Działalność takich organizacji rozrosła się do tak dużych rozmiarów, że w końcu zaszła konieczność stworzenia jakiejś sensownej struktury mogącej ułatwić dalsze prace. W ten sposób powstało Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

Spośród licznych oddziałów Towarzystwa dla nas najcenniejszym jest oddział w Jeleniej Górze. Jego działalność wyróżnia go spośród innych jednostek. Kresowiaczy, którzy osiedlili się na Dolnym Śląsku, a w szczególności na Ziemi Jeleniogórskiej, znaleźli tu tereny tak urozmaicone, że pozwoliło im to na utulenie żalu za utraconymi ziemiami rodzinnymi. Dzięki temu spotykali się oni, w czasach kiedy o podróżach sentymentalnych można było tylko pomarzyć, w małych grupach, by w końcu, gdy założono Towarzystwo móc realizować swoje tęsknoty na większą skalę. Po zmianach jakie zaszły w ostatnim czasie możliwym stały się wycieczki, podróże czy odwiedzanie swoich miejsc rodzinnych. Stąd też co roku wielu Kresowiaków wyjeżdża na Ukrainę, Białoruś czy Litwę. Największa jednak grupa odwiedza Lwów. Ich ukochany Lwów. Bo dla każdego z nich Lwów jest najpiękniejszym miastem w Europie. I trudno się dziwić takiej postawie. Każdy kto choć raz odwiedzi to miasto, mimo iż od prawie 70 lat systematycznie niszczy się w nim ślady polskości, czuje się tam jak w domu. Na każdym bowiem kroku widać historię polską. Wszędzie można dostrzec ślady po naszych przodkach, zarówno w zabytkach, uczelniach, kulturze, a przede wszystkim na Cmentarzu Łyczakowskim, gdzie pochowanych jest wielu wybitnych Polaków.

Jeleniogórski oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich niebawem będzie obchodzić 30 rocznicę swojego istnienia. Powoli odchodzą kresowiaczy przybyli tu w wyniku przesiedleń powojennych. Ich miejsce zajmują ich dzieci, które chcą pamiętać, chcą kultywować zwyczaje swoich rodziców, chcą w końcu czuć się Lwowiakami. Dlatego dziesięć lat temu wymyślono konkurs historyczny „Ocalić od zapomnienia” adresowany do młodzieży szkół gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych Jeleniej Góry i powiatu. Do tej pory na ów konkurs wpłynęło już dziesiątki prac, w których młodzież opisuje historię swojej rodziny, historię pozyskiwaną od ich rodziców czy dziadków. Jak się okazało jest to dzisiaj źródło niezwyklej wiedzy o latach, w których ludność polska została pozbawiona swojego domu, o tym co każda rodzina musiała przejść by w końcu żyć spokojnie na ziemi dolnośląskiej, o tym ile istnień ludzkich kosztowało nasz naród utworzenie nowego ładu w Europie.

Krzysztof Tęcza

Spis treści

Wprowadzenie	3
HENRYK MITRASZEWSKI Jeleniogórski Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich	5
KRZYSZTOF TĘCZA Krzysztof Bulzacki	21
KRZYSZTOF TĘCZA Kazimierz Lelo	22
JAN SWATOWSKI Ocalić od zapomnienia	23
SANDRA ŚMIGASZEWICZ Moja rodzina	25
ALEKSANDER PULTER Historia mojej rodziny	30
JOANNA ŁUKASZEWICZ Wspomnienia Bogumiła	33
KATARZYNA KUBICIEL Wspomnienia Janiny	36
ANITA GRONTMAN Losy mojej rodziny	41
ALICJA MARCZENKO Wysiedlenia, deportacje, łagry, wypędzenia	44
MARTA MICHALSKA Wspomnienia Kresowianki – mojej babci Antoniny Michalskiej	52
KATARZYNA MYŚIAK Moje życie na Kresach – wspomnienia dziadka	56
BARTOSZ WILK Moja rodzinna miejscowość	59
ANITA CELUCH Historia mojej rodziny z Kresów	61
MICHAŁ TARCZYŃSKI Wspomnienia Tadeusza Draba	63
ŻANETA RUCZKOWSKA Moja rodzinna miejscowość „Z Kołomyi do Kromnowa”	65
WERONIKA WOŚ Opowieść babci	70

WYDARZENIA REGIONALNE

KRZYSZTOF TĘCZA Seminarium kresowe	74
---	----



Jeleniogórski Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

*Czas upływa a my starzejemy się wraz z cicho biegnącymi latami.
Tempora labuntur tacitisque senescimus annis. (łac.)*

OWIDIUSZ

Wydaje się, że było to niedawno, gdy nieśmiało i z niedowierzaniem przekazywa-
liśmy znajomym wiadomość – kresowianie będą mieli swoją oficjalną, legalną
organizację. Dnia 20.12.1988 roku z inicjatywy panów Kazimierza Lelo i Krzysztofa
Bulzackiego grupa jeleniogórska rozpoczęła swą działalność. Informację o tworzeniu
Towarzystwa rozesłano do gazet oraz zaproszono chętnych sympatyków i miłośników
Kresów. Rozpoczęto poszukiwania lokalu i tu z pomocą przyszedł lwowiak – przewod-
niczący Miejskiego Koła Stronnictwa Demokratycznego w Jeleniej Górze, pan Kazi-
mierz Lelo, użyczając pomieszczenie w siedzibie SD przy ulicy Wolności 29.

Pierwsze Walne Zebranie TML, na które przybyło 68 osób odbyło się 3 lutego 1989
roku. W jawnym głosowaniu wybrano zarząd Towarzystwa w składzie: prezes – Kazi-
mierz Lelo, wiceprezesi – Krzysztof Bulzacki, Jan Bajor, sekretarz – Kazimierz Paluch,
skarbnik – Wanda Kojdecka. Najstarszymi członkami byli: Kazimierz Obszerny lat 82,
Jan Warachim lat 81 i Władysław Kozak lat 80.

Podobne organizacje powstawały w całym kraju. Zapisywali się do nich kresowianie
z różnych miejscowości odebranych nam brutalnie decyzją przywódców USA – Fran-
klina D. Roosevelta, Wielkiej Brytanii – Winstona Churchilla oraz Związku Radzieckie-
go – Józefa Stalina, pozbawiając naród polski prawa do samostanowienia o granicach
i kształcie ustrojowym państwa polskiego.

Dlatego w maju 1993 r. zapadła decyzja o rozszerzeniu nazwy. Towarzystwo Miło-
śników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich stało się organizacją nie tylko rodo-
witych kresowianów.

Oddział jeleniogórski nakreślił ramowy program i główne kierunki działania wyni-
kające z zadań statutowych.

Do najważniejszych zaliczono:

- Zrzeszanie osób, którym bliskie jest dziedzictwo historyczne królewskiego,
stołecznego miasta Lwowa, Kresów Południowo-Wschodnich, oraz podtrzy-
manie stosunków koleżeńskich i udzielanie wzajemnej pomocy.

- Pielęgnacja dorobku historycznego Kresów Południowo-Wschodnich jako integralnej części kultury i tradycji Rzeczypospolitej Polskiej.
- Upowszechnianie prawdy o dziejach Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.
- Działanie na rzecz zachowania przez społeczeństwo polskie pozostawionego na wschodzie mienia narodowego, dóbr kultury i sztuki.
- Prowadzenie działalności wydawniczej i publicystycznej.
- Wspieranie inicjatyw zmierzających do ratowania i ochrony pamiątek przeszłości Kresów Południowo-Wschodnich.
- Udzielanie wszelkiej pomocy charytatywnej rodakom oraz organizacjom polskim we Lwowie i na Kresach Południowo-Wschodnich.

Od początku istnienia organizacji ustalono, że zebrania odbywać się będą raz w miesiącu, przy czym dokładny plan układa się z góry na cały rok (podając datę i godzinę spotkania).

Jeleniogórski Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich otrzymał od władz miasta lokal przy ulicy Bohaterów Getta 2. Został on wyremontowany w czynie społecznym a także umeblowany darowanymi przez członków meblami. Członkowie zarządu pełnią dyżury w godz. 12-14 cztery razy w tygodniu. Ponieważ posiadane pomieszczenia są niewielkie, trudno zebrać jednorazowo wszystkich członków. W roku 1998 z pomocą przyszedł nam dyrektor Jeleniogórskiego Centrum Kultury pan Jarosław Gromadzki udostępniając salę, w której raz w miesiącu odbywają się zebrania.

Każde zebranie rozpoczyna się od przeczytania kalendarium zawierającego krótkie informacje o wybitnych postaciach i wydarzeniach, które miały miejsce na utraczonych terenach II Rzeczypospolitej. Wygłaszane są również prelekcje i organizowane spotkania z ciekawymi ludźmi. Gościli na nich między innymi: Jerzy Janicki, Wojciech Dzieduszycki, Tadeusz Steć, Danuta Skalska, Ryszard Wojnarowski, Tadeusz Siwek, Stanisław Srokowski, Andrzej Bartyński, prof. Stanisław Sławomir Nicieja. Omawiane są sprawy organizacyjne, ogłaszane komunikaty, rozprowadzana prasa i książki o tematyce kresowej. Chętni mają okazję do swobodnej pogawędki przy kawie i herbacie.

Od 1993 r. odbywają się również zebrania o nieco innym charakterze. Są to spotkania opłatkowe (po Bożym Narodzeniu) oraz „święcone” (po Wielkanocy).

W tych składkowych spotkaniach uczestniczą członkowie Towarzystwa wraz z rodzinami. Po modlitwie, odmówionej przez kapelana, następuje dzielenie się opłatkiem lub święconym jajkiem, składane są życzenia, śpiewane kolędy. Najstarsi członkowie wspominają, jak obchodzono święta na Kresach. Jest to również okazja do wymiany przepisów na potrawy kresowe. Okazuje się, że wiele dawnych przepisów pamiętają panowie, a Bogusław Puluj przynosi upieczony przez siebie smakowity „piróg”.

Członkowie Towarzystwa nie zapominają też o świętach państwowych. Szczególnie uroczystą oprawę mają listopadowe zebrania związane z obchodami Święta Niepodległości. Wypełniają je referaty, wiersze i piosenki, a ostatnio także koncerty. W latach 2005-2007 obchody uświetniły występy uczniów Ogniska Muzycznego z Barcinka przy-

gotowane przez panią Zuzannę Turwanicką, pieśni patriotyczne i lwowskie, wykonywane przez pana Tadeusza Siwka, oraz jeleniogórskiego aktora pana Ryszarda Wojnarowskiego.

Od 2009 roku, dzięki przychylności dyrektora Muzeum Przyrodniczego pana Stanisława Firszta w ramach uroczystości Święta Niepodległości organizujemy w salach muzeum wystawy fotograficzne z cyklu „Przyroda Kresów”. Prezentowane są fotografie wykonane przez uczestników wycieczek. Każda z wystaw pokazuje unikatowy obszar przyrodniczy: „Park Zofiówka” (2009), „Polesia czar” (2010), „Park Stryjski” (2011), „Bukowiny czar” (2012), „Park Aleksandria” (2013), „Perły przyrody kresowej” (2014).

W siedzibie Oddziału można zaprenumerować lub kupić wydawany w Stanisławowie „Kurier Galicyjski”. W ten sposób wspomaga się budżet tej gazety i budzi zainteresowanie czytelników problematyką związaną z historią i dniem dzisiejszym tej ziemi. Dużą poczytnością cieszy się kwartalnik wydawany przez Zarząd Główny TMLiKPW we Wrocławiu „Semper Fidelis”. Bardzo ceniony, ze względu na wysoki poziom publikacji, jest wydawany w Krakowie kwartalnik „Cracovia Leopoli”. Czasopisma te uzupełniają „Roczniki Lwowskie” i „Na Rubieży”. Wszystkie wartościowe lwowskie nowości wydawnicze są sprowadzane m.in. z Zarządu Głównego TMLiKPW we Wrocławiu.

Jeleniogórski Oddział Towarzystwa wydał własnym sumptem trzy książki autorstwa pana Krzysztofa Bulzackiego: „Polacy i Ukraińcy – Trudny rozwód” (1997), „Na wariackich papierach” (1997), „Zawsze wierni tobie Polsko” (1999).

Z okazji dziesięciolecia Oddziału ukazała się okolicznościowa pocztówka oraz stempel pocztowy.

W siedzibie Oddziału znajduje się biblioteka oraz wideoteka zawierająca najbogatszy w Jeleniej Górze zbiór filmów i kaset o tematyce kresowej, wykonanych przez naszych członków. Są to filmy ukazujące zwiedzane miasta i zabytki oraz dokumentujące spotkania, wycieczki i inne imprezy. Zgromadzono też zbiór lwowskich piosenek w różnych aranżacjach i wykonaniach.

Ściany lokalu przy ulicy Bohaterów Getta 2 ozdabiają fotografie wykonane przez członków Towarzystwa, panów: Bogdana Błonnego, Stanisława Kańczukowskiego i Henryka Mitraszewskiego (plon wypraw na Kresy).

Członkowie jeleniogórskiego TMLiKPW biorą udział w licznych akcjach charytatywnych na rzecz naszych rodaków mieszkających za wschodnią granicą. Okazją do niesienia pomocy są coroczne wycieczki na Kresy. Zwiedzając kolejne miejscowości pozostawia się potrzebującym dary w postaci odzieży, obuwia, książek, czasopism, pomocy szkolnych, żywności i pieniędzy. Przekazywane są one najczęściej polskim parafiom i pracującym w nich zaprzyjaźnionym księżom.

Szczególną opieką otaczamy rodaków mieszkających w Zbarażu. We wszystkich odwiedzanych kościołach pozostawiane są zawsze datki na renowacje i remonty.

Serdeczne więzy łączą jeleniogórskie Towarzystwo z polskim przedszkolem ze Lwowa przy ulicy Metrologicznej. Członkowie Oddziału podczas każdego pobytu we Lwowie obdarowują dzieci słodyczami, książkami, pomocami szkolnymi. Ze wzruszeniem słuchamy piosenek i wierszy w wykonaniu maluchów.

W roku 1995 na apel „Gazety Lwowskiej” zakupiono z dobrowolnych składek naszych członków obuwie zimowe dla wszystkich dzieci tego przedszkola. Pani kierowniczka przesłała nam informację, jakie numery obuwia są potrzebne. Buty otrzymał każdy przedszkolak jako prezent na Boże Narodzenie. Wzruszające są dowody wdzięczności przedszkolaków, które przysyłały do Jeleniej Góry własnoręcznie wykonane rysunki, kartki i pocztówki z podziękowaniami.

Od 1997 r. w dniu 1 listopada odbywała się na jeleniogórskich cmentarzach kweśta na odbudowę Cmentarza Obrońców Lwowa oraz na renowację cennych nagrobków Cmentarza Łyczakowskiego (np. w roku 2000 przekazano 2.520 zł). Kweście towarzyszyły wystawy fotografii najpiękniejszych zabytków lwowskich nekropolii.

Aktywnie włączyliśmy się w odbudowę dworku Juliusza Słowackiego w Krzemieńcu organizując akcję wydania i sprzedaży okolicznościowych cegiełek, na prośbę prowadzących remont przekazaliśmy środki czystości i materiały biurowe.

Chcąc pomagać Polakom mieszkającym na kresach często podczas wyjazdów uczestnicy wycieczki mieszkali w prywatnych kwaterach. Wiązało się to z opłatą za noclegi, pozostawieniem upominków i co najważniejsze, nawiązaniem bezpośrednich kontaktów z rodakami. Nasi członkowie pełnili rolę przewodników grup młodzieży ze Lwowa, przebywającej podczas wakacji w Jeleniej Górze i okolicy.

Oddział nasz swoją działalnością obejmuje przede wszystkim Kresowian oraz tych, którzy emocjonalnie są związani z Kresami Wschodnimi poprzez swoich rodziców,



W lwowskim przedszkolu

krewnych a często i sąsiadów. Podejmują oni działania mające na celu upowszechnianie w swoim otoczeniu osiągnięć historycznych i kulturalnych tych ziem.

Realizacja zadań statutowych wymaga od Towarzystwa niezwyklej aktywności w środowisku oraz umiejętności wypracowania różnorodnych form współpracy z instytucjami i stowarzyszeniami społecznymi Regionu Jeleniogórskiego.

Dzięki kontaktom z Teatrem im. C.K. Norwida, Jeleniogórskim Centrum Kultury, Osiedlowym Domem Kultury „Zabobrze” i Teatrem Zdrojowym udało się zorganizować eliminacje konkursowe oraz koncerty galowe w ramach „Spotkania z Piosenką Lwowską i Kresową TA JOJ”. Organizacją eliminacji i koncertów galowych tego konkursu zajmuje się ODK „Zabobrze”, natomiast Jeleniogórski Oddział TMLiKPW, jako fundator nagród, uczestniczy w pracach jury i zaprasza występujące gościnnie zespoły. Tradycją stało się, że spotkania z piosenką uświetniają zespoły z Ukrainy, np. „Czeremosz” z Werhowyny, chór „Lelija” z Sądowej Wiszni, „Lwowska Kapela”, chór z katedry ormiańskiej „Saghmos”, z Polski Roman Kołakowski i zespół „Pacalycha” z Bytomia, kapela „Fidelis” z Przemyśla oraz zespoły lokalne. Konkursy tradycyjnie poprzedzają wystawy fotografii i pamiątek kresowych będących własnością kresowian, traktowanych przez nich niczym relikwie.

Filharmonia Dolnośląska w Jeleniej Górze oraz ODK „Zabobrze” i Jeleniogórskie Centrum Kultury udostępniały swoje pomieszczenia na zorganizowanie wystaw fotografii wykonanych przez uczestników wycieczek do Lwowa i na Kresy, np. „Lwów i Kresy w fotografii” (2004 r.), „Huculszczyzna” (2007 r.), „Nad Bugiem, nad Niemnem” (2008 r.), „Sceny z życia kresowian” (2009), „Ślady polskości na Kresach” (2012).

Przyjazna i otwarta postawa pana Stanisława Firsza wobec Kresowian zaowocowała organizacją wielu wystaw popularyzujących dorobek kultury kresowej. Do najciekawszych należały: „Lwów i Kresy” – ekspozycja pamiątek i przedmiotów codziennego użytku (1999 r.), „Nasz Stary Lwów” – zbiory przedwojennych fotografii (2006 r.). Pełną refleksji i sentymentu wystawę „Zamki i Warownie Kresowe Rzeczypospolitej” zorganizowaną z okazji 15-lecia naszego Oddziału TMLiKPW można było podziwiać na zamku w Bolkowie (2004 r.).

Dzięki inicjatywie dyrektora Muzeum w Jeleniej Górze dnia 20 maja 2006 r. odsłonięto tablicę pamiątkową poświęconą pamięci długoletniego, zasłużonego pracownika Muzeum oraz aktywnego członka Oddziału TMLiKPW śp. Mieczysława Buczyńskiego.

O zainteresowaniu tematyką kresową w Jeleniej Górze świadczy podejmowanie tej tematyki przez inne podmioty. Biblioteka Grodzka w 2003 r. zorganizowała ciekawą wystawę „Pomniki Cmentarza Łyczakowskiego w rysunkach Agaty Kuczmy”, która będąc we Lwowie uległa jego urokowi, a Miejski Ośrodek Kultury w 1999 r. udostępnił zwiedzającym wystawę „Lwów i Kresy w fotografii”.

Nie zapominamy również o zmarłych członkach naszego Oddziału. Współdziałając z Towarzystwem Przyjaciół Jeleniej Góry, co roku w listopadzie, podczas wieczoru wspomnień, przypominana jest jedna postać naszych dawnych ś.p. przyjaciół.

Nieubłagany upływ czasu powoduje, że jest coraz mniej osób mogących przekazać relacje o życiu na dawnych Kresach II Rzeczypospolitej. Zarząd Oddziału Jeleniogór-

skiego zwrócił się do młodzieży gimnazjalnej i ponadgimnazjalnej z propozycją udziału w konkursie pt. „Ocalić od zapomnienia”. Zadaniem młodzieży było skontaktowanie się z żyjącymi w sąsiedztwie Kresowianami, a następnie przedstawienie ich losów w formie wywiadu, pamiętnika, listu, wspomnienia lub opowiadania. Pierwsza edycja tego konkursu zakończyła się wyłonieniem i nagrodzeniem laureatów, którymi zostali uczniowie: Anna Podobińska i Jarosław Misiura z Zespołu Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Jeleniej Górze. Przesyłane prace mają wartość historyczną, obrazującą życie i tragiczne losy wielu rodzin. Przedstawiają one bogaty materiał faktograficzny (zaświadczenia, przepustki, fotografie, zdjęcia przedmiotów codziennego użytku itp.).

Jedna z uczestniczek konkursu tak zakończyła swoją pracę: „Wstyd mi, że dopiero jako osiemnastolatka dowiedziałam się o istotnych i poruszających faktach z życia mojej babci Czesławy... Nie miałam pojęcia co przeszła moja rodzina... Dzięki konkursowi poznałam lepiej własną rodzinę i jestem pewna, że przynajmniej moich krewnych ocale od zapomnienia. Całą wiedzę jaką zdobyłam na ten temat przekażę swoim dzieciom i dopilnuję, by one interesowały się losem rodziny...”

Laureatom konkursu i ich opiekunom fundujemy udział w wycieczce autokarowej.

Dzięki życzliwości i wsparciu finansowemu władz administracyjnych i samorządowych miasta oraz powiatu udało się zrealizować wiele zadań np. wystawy „Spotkania z Piosenką Lwowską i Kresową TA JOJ” czy konkurs „Ocalić od zapomnienia”. W tym zakresie zawsze można było liczyć na przychylną postawę Urzędu Miasta, Wydziału Oświaty i Urzędu Starostwa.

Ostatnie lata przyniosły nawiązanie kontaktów ze Związkiem Serbołużyczan z Budziszyna. Przedstawiciele tego związku na nasze zaproszenie goszczą na koncertach galowych „Piosenki Lwowskiej i Kresowej TA JOJ”, wspólnie przemierzają szlaki turystyczne Kotliny Jeleniogórskiej poznając jej piękno. Członkowie Towarzystwa dzięki pomocy Serbołużyczan poznają kulturę, sztukę i język tego niezwykłego narodu, który przez kilka stuleci, opierając się naciskowi germanizacyjnemu, zachował swoją odrębność kulturową. Na długo zostaną w pamięci wspólne spotkania. Zawsze można było liczyć na ich cenną pomoc przy planowaniu i organizowaniu wycieczek, w czasie których świetnie wywiązywali się z roli przewodników po Łużycach i Saksonii.

W 2008 r. kilku członków Związku Serbołużyczan wzięło udział w wycieczce do Lwowa i na Kresy organizowanej przez nasz Oddział. Już obecnie można stwierdzić, że te kontakty z roku na rok ulegają zacieśnieniu przynosząc obopólne korzyści.

Współpraca z instytucjami i stowarzyszeniami spotyka się z wysoką oceną i uznaniem całego środowiska Kresowian, czego dowodem jest przyznawanie Złotej Odznaki TMLiKPW. Dotychczas odznakę otrzymali: Jan Gniadzik, Krzysztof Bulzacki, Alicja Gawęda, ks. Eugeniusz Jacyszyn, Stanisław Kańczukowski, Henryk Mitraszewski, Alina Puluj, Bogusław Puluj, Tadeusz Siwek, Maria Lach, Jarosław Gromadzki, Sylwia Cinkowska-Motył, Marek Obrębalski, Jacek Włodyga, Elżbieta Sierka, Zbigniew Domoński.

Wyjątkowe znaczenie mają dla Kresowian organizowane od 1994 r. coroczne wycieczki do Lwowa i na Kresy traktowane jako pielgrzymki do miejsc dzieciństwa

i młodości. Coraz częściej w tych wycieczkach uczestniczą również ci, którzy z Kresami związani są tylko przez wspomnienia rodziny, znajomych, sąsiadów Kresowian doświadczonych okrutnie przez wojnę.

Dotychczas Towarzystwo zorganizowało na Kresy szesnaście wycieczek. Zawsze rozpoczynały się one i kończyły we Lwowie, a docierały chyba do wszystkich znanych miejscowości, zabytków i pomników przyrody w dawnej Galicji Wschodniej. Część wycieczkowiczów oddzielała się od zasadniczej grupy i wędrowała w Karpaty Wschodnie, w Czarnohorę i Beskid Huculski. Wyprawy górskie wyruszały z Worochty, Dzembroni oraz Jasienia na Zakarpaciu. Z własnym prowiantem i namiotami turyści przeszli pasmo Czarnohory od Howerli po Pop Iwana. W ostatnich dwóch latach rozszerzono obszar zwiedzanego terytorium. W 2007 r. wycieczkowicze przejechali wzdłuż prawie całej granicy wschodniej II Rzeczypospolitej od Wilna do Lwowa.

W roku 2008 wyruszono na daleką Ukrainę, na ziemię leżącą za dawną graniczną rzeką Zbrucz, podziwiano Kamieniec Podolski, Chocim, Winnicę, porohy na rzece Boh, Bar, Białą Cerkiew, Berdyczów, Żytomierz, Wierzchownię, Ostróg, Podkamień i Brody. Jedną z wycieczek prowadziła przez Bukowinę rumuńską. Wycieczki kończono w ulubionej restauracji – lwowskim „Browarze” na Kleparowie.

Coraz większym zainteresowaniem cieszą się też jednodniowe autokarowe wycieczki, organizowane kilka razy w roku, wyruszają one do różnych ciekawych miejsc Dolnego Śląska, również do Czech (Praga, Kutna Hora, Sychrow, Liberec, Jycin, Deczin, Hrensko, Žacléř, Jelimnice) i do Niemiec (Drezno, Miśnia, Moritzburg, Bautzen). Każda wycieczka organizowana przez Towarzystwo jest okazją do wydania przewodnika – informatora o trasie i historii odwiedzanych miejsc, który otrzymują jej uczestnicy.

Grupa zapalonych turystów przez cały rok w soboty wędruje po najpiękniejszych zakątkach Kotliny Jeleniogórskiej, Karkonoszy i Rudaw Janowickich.

Integracji kresowego środowiska służyły przygotowane z niezwykłą starannością, zawierające bogatą treść prelekcje przygotowane na każde zebranie, np. „Polskie Towarzystwo Gimnastyczne Sokół”, „Rozgłoszenia radiowa we Lwowie”, „Kazimierz Sichulski – lwowski artysta”, „Ormianie w Polsce”, „Życie i działalność prof. dr. Adama Grucy”, „Akademicki Klub Turystyczny we Lwowie” i wiele innych. Prelekcje ilustrowane zdjęciami i przeżyciami odbierane są przez słuchaczy z wielkim zainteresowaniem.

Różnorodne formy działalności Towarzystwa jednoczą Kresowian, przyczyniają się do nawiązywania długoletnich przyjaźni, pozwalają ciekawie spędzić wolny czas. Można odnieść wrażenie, że zrzeszeni w Towarzystwie ludzie tworzą jedną ogromną rodzinę, która pomaga realizować plany, zaspokajać potrzeby, aktywizuje do działania, uczy tolerancji i otwarcia na innych.

Nigdy nie zapominamy o Święcie Niepodległości, zawsze staramy się powiązać tą rocznicę z elementem kresowym. W 2012 roku partycypowaliśmy w kosztach odnowienia monumentu związanego z 165 rocznicą pobytu w Cieplicach Wincentego Pola. Uroczystego odsłonięcia tablicy 19 maja 2012, po słowie wstępnym wygłoszonym przez dyrektora muzeum Stanisława Firsztę dokonali – praprawnuczka Wincentego Pola Barbara Pol-Jelonek i prof. Zbigniew Domosławski przedstawiciel naszego Oddziału.



Kolejna uroczystość patriotyczna z okazji Święta Niepodległości przygotowana wspólnie przez Muzeum Przyrodnicze w Jeleniej Górze i Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, to odsłonięcie, w nowej siedzibie muzeum (XVIII-wieczny obiekt zespołu pocysterskiego), tablicy pamiątkowej poświęconej wizycie pracownika lwowskiego Ossolineum Wincentego Pola w Cieplicach w Bibliotece Schaffgotschów w 1847 roku.

Na uroczystość dnia 11 listopada 2013 r. przybyli: praprawnuczka Wincentego Pola Barbara Pol-Jelonek z mężem Janem Jelonkiem, Poseł na sejm RP – Zofia Czernow, Zastępca Prezydenta Miasta Jeleniej Góry – Mirosława Dzika, Przewodnicząca Rady Cieplic – Anna Bałkowska, Radni Miasta Jeleniej Góry i Starostwa Powiatowego oraz mieszkańcy Jeleniej Góry. Zaznaczyć trzeba, że jednym z fundatorów tablicy był nasz Oddział.

Odsłonięcia tablicy dokonała Barbara Pol-Jelonek, a poświęcił ją Ojciec Kazimierz Zborowski z zaprzyjaźnionej Parafii Św. Jana Chrzciciela w Jeleniej Górze-Cieplicach prowadzonej przez ojców pijarów.

Częścią tej uroczystości było otwarcie wystawy fotograficznej z cyklu „Przyroda Kresów”, pt. „Park Aleksandria w Białej Cerkwi”. Fotografie wykonane przez naszych członków uzupełniła prelekcja na temat powstania Parku Aleksandria. Imprezę uświetnił występ chóru działającego na co dzień w MDK „Muflon”, który wykonał kilka pieśni patriotycznych.

W 70 rocznicę zbrodni dokonanej przez UPA i OUN na ludności polskiej mieszkającej na Wołyniu, członkowie naszego Oddziału ufundowali pamiątkową tablicę,





umieszczoną w Bazylice Mniejszej św.św. Erazma i Pankracego w Jeleniej Górze. Tematyce ludobójstwa na Wołyniu poświęcone było jedno z naszych zebrań, a szczególne relacje z tych tragicznych wydarzeń publikowane są w miesięczniku „Na Rubieży”, którego współautorem jest nasz członek Krzysztof Bulzacki.

Rok 2014 oznacza, że przetrwaliśmy 25 lat, jest okazja do świętowania. Działalność naszą na rzecz środowiska, doceniły władze miasta. Podczas spotkania noworocznego zostaliśmy uhonorowani przez Prezydenta Jeleniej Góry Marcina Zawilę nagrodą jako najprężniej działająca organizacja pozarządowa w mieście. Towarzystwo jest również organizatorem corocznego, cieszącego się dużym uznaniem – festiwalu piosenki kresowej oraz aktywnie włącza się w organizowane przez miasto uroczystości o charakterze patriotycznym.

Obchody 25-lecia działalności zainaugurował w dniu 18 stycznia 2014 r. wernisaż wystawy pt.: „Kresy w naszej pamięci”, przygotowanej przez Jeleniogórski Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Muzeum Przyrodniczym w Jeleniej Górze. W uroczystości wzięli udział: Zygmunt Korzeniewski – Naczelnik Wydziału Dialogu Społecznego Urzędu Miasta Jeleniej Góry, Małgorzata Czajkowska – Prezydent Rotary Club, Marek Gołębiowski – Prezes Stowarzyszenia Byłych Żołnierzy Radiotechników „Radar” w Jeleniej Górze, prof. Henryk Gradkowski – Rektor Karkonoskiej Państwowej Szkoły Wyższej w Jeleniej Górze, Bogdan Helik – Dyrektor Zespołu Szkół Rzemiosł Artystycznych w Jeleniej Górze, Członkowie Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich oraz sympatycy i współpracownicy Towarzystwa.





Ekspozycja prezentowała zbiory pamiątek – rodziny Garapichów von Sichelburg i Geringerów von Oedenburg, Barbary i Jacka Włodygi, Małgorzaty Czajkowskiej, Stanisława Kańczukowskiego, Henryka Mitraszewskiego, Elżbiety Sierki, Warachimów oraz zbiory Stanisława Stasienki. Otwarcu wystawy towarzyszył występ zespołu „Sybiraczki i Kresowianie”, który wykonał kilka piosenek lwowskich i kresowych. Wszyscy członkowie zespołu należą do TML i KPW.

Wystawa cieszyła się ogromnym powodzeniem wśród mieszkańców Jeleniej Góry jak i przebywających w uzdrowisku kuracjuszy z całej Polski oraz grupy dzieci przebywające na feriiach szkolnych.

Główne uroczystości 25-lecia naszego Oddziału odbyły się 25 stycznia 2014 r. w sali Zdrojowego Teatru Animacji w Jeleniej Górze-Cieplicach. (Budynek teatru wybudowany w 1836 roku w stylu klasycystycznym ze sceną nachyloną ku widowni).

W foyer teatru witął gości śpiewem zespół „Sybiracy i Kresowianie” z Miejskiego Domu Kultury „Muflon” w Sobieszowie. Na uroczystość przybyli m. in.: Marcin Zawila – Prezydent Jeleniej Góry, Jacek Włodyga – Starosta jeleniogórski, Zofia Czernow – Posłanka na sejm VII kadencji, Leszek Wrotniewski – Przewodniczący Rady Miejskiej Jeleniej Góry, Zygmunt Korzeniewski – Naczelnik Wydziału Dialogu Społecznego UM, Stanisław Firszt – Dyrektor Muzeum Przyrodniczego w Cieplicach, Małgorzata Pryjma-Czajkowska – Prezydent Rotary Club w Jeleniej Górze-Cieplicach, Danuta Sitek – Dyrektor MDK „Jelonek”, delegacja Związku Miast Partnerskich z Budzuszyna z przewodniczącym Tomaszem Nawką, Zarząd Główny TML i KPW reprezentowała Jolanta Kołodziejska. Jak zwykle nie zawiedli nasi członkowie, sympatycy oraz mieszkańcy Jeleniej Góry i okolic. Obecność tak znakomitych gości świadczy, że dotychczasowa nasza działalność jest dostrzegana, doceniana i potrzebna środowisku.

Po części oficjalnej, uroczystość uświetnił występ zespołu „Paka Buziaka” z Młodzieżowego Domu Kultury „Jelonek” w Jeleniej Górze pod artystycznym kierownictwem Wiesława Kowalewskiego. Działający od 18 lat zespół, koncertował w kraju i za granicą (Wiedeń, Tarnopol, Norynberga), zdobywając wiele prestiżowych nagród m. in.: I miejsce na Ogólnopolskim Festiwalu Piosenki Lwowskiej w Krakowie, I nagrodę w Międzynarodowym Przeglądzie „Folklor Świata”, oraz II nagrodę na Międzynarodowym Festiwalu „Piosenki naszego sąsiada”. Zaproszenie prezydenta Federacji Kresowian do występu z własnym koncertem „Paki Buziaka” do Auli Papieskiej na Jasnej Górze uznają za wielkie wyróżnienie. Publiczność nagradzała każdą piosenkę w wykonaniu zespołu gromkimi brawami.

Mam nadzieję, że w dalszych naszych działaniach znajdziemy sprzymierzeńców, bo jak wspomniał w swoim wystąpieniu Prezydent Miasta Marcin Zawila „połowa mieszkańców Jeleniej Góry ma korzenie na Kresach”.

Nowym elementem współpracy naszego Towarzystwa z Zespołem Szkół Licealnych i Zawodowych nr 2 im. St. Staszica było zorganizowanie I Konkursu Gastronomicznego pt. „Spotkanie z kulturą i kuchnią kresową”.

Wspaniałym prezentem Rady Miasta Jeleniej Góry dla Kresowian, przesiedlonych ze wschodnich terenów II Rzeczypospolitej, jest Uchwała nr 464 z dnia 28 stycznia 2014



roku w sprawie nadania nazw skwerom na terenie miasta. Uroczyste odsłonięcie tablic z nazwami skwerów odbyło się 11 czerwca br. Patronat nad skwerami objęła młodzież szkół jeleniogórskich.

Skwer u zbiegu ulic Marii Konopnickiej i Józefa Piłsudskiego otrzymał nazwę *Skwer Lwowski*. Odsłonięcia tablicy dokonał prezydent miasta Marcin Zawila. W uroczystości uczestniczyli: przewodniczący Komisji Prawa i Spraw Społecznych Jerzy Pleskot, naczelnik Wydziału Dialogu i Spraw Społecznych Zygmunt Korzeniewski, dyrektor Jeleniogórskiego Centrum Kultury Jarosław Gromadzki, młodzież z poczem sztandarowym I Gimnazjum im. Tadeusza Kościuszki z opiekunką Renatą Siwy obejmując patronat nad tym skwerem. Na uroczystość przybyła liczna grupa członków naszego Towarzystwa oraz wielu mieszkańców miasta.

Skwer przy ulicy Podwale otrzymał nazwę *Skwer Orląt Lwowskich*. W odsłonięciu tablicy z nazwą udział wzięli: zastępca przewodniczącego Rady Miasta Józef Sarzyński, naczelnik Wydziału Dialogu i Spraw Społecznych UM Zygmunt Korzeniewski, naczelnik Wydziału Edukacji i Sportu Paweł Domagała, naczelnik Wydziału Kultury i Turystyki Irena Kempisty – dyrektor Młodzieżowego Domu Kultury „Jelonek” Danuta Sitek, poczet sztandarowy i młodzież Zespołu Szkół Technicznych „Mechanik” z zastępcą dyrektora Piotrem Wilkiem oraz opiekunką Barbarą Rodziewicz.





Skwer znajdujący się przy zbiegu ulic Wolności i Wojska Polskiego otrzymał nazwę *Skwer Wołyński*. Uroczystego odsłonięcia tablicy z nazwą dokonał przewodniczący Rady Miasta Leszek Wrotniewski wspólnie z uczennicą Szkoły Podstawowej nr 13 im. Komisji Edukacji Narodowej, która przyjęła patronat nad tym skwerem. Uroczystość uświetniła obecność poczty sztandarowej Szkoły Podstawowej nr 13, liczna grupa młodzieży z opiekunkami Justyną Wilk i Sandrą Gleizner.

W ramach I Jeleniogórskich Targów Organizacji Pozarządowych zaznaczyliśmy swoją obecność prezentując dorobek wydawniczy naszych członków Krzysztofa Bulzackiego i Feliksa Podoleckiego. Z dobrowolnych składek Naszych Członków zgromadzono kwotę 540 złotych, którą przekazano dla Towarzystwa Kultury Polskiej we Lwowie na zakup zniczy, które zapłonęły na polskich grobach na Cmentarzu Janowskim we Lwowie 1 listopada 2014 roku.

Wierzę, że energia drżemiąca w kresowianach w kolejnych latach przyniesie wiele nowych inicjatyw i zaszczepi w młodym pokoleniu pamięć o dawnych czasach.

Rok 2016 to czas kolejnych spotkań i wyjazdów. Jak zwykle odwiedziliśmy ukochany Lwów.

Wykorzystano: fragmenty art. „XX lat Jeleniogórskiego O/TMLiKPW” i pracy zbiorowej: Iwony Barcewicz, Jana Dacha, Jana Swatowskiego i Henryka Mitraszewskiego „25 lat jeleniogórskiego oddziału TMLiKPW 1989-2014”.

Fotografie wykorzystane w tekście są autorstwa Henryka Mitraszewskiego i Marka Kowalskiego.



Krzysztof Bulzacki

Krzysztof Bulzacki urodził się 2 stycznia 1930 r. we Lwowie, jak sam twierdził, najpiękniejszym mieście w Polsce. Oczywiście na świat przyszedł nie w domu lecz w szpitalu na Łyczakowie. Przez najbliższe lata rodzice wielokrotnie zmieniali adresy zamieszkania lecz przeważnie przebywali na Łyczakowie. Wszystko zmieniło się w lipcu 1946 roku, kiedy po wysiedleniu ze Lwowa przybyli do Jeleniej Góry.

Najpierw jednak Krzysztof zaczął uczęszczać do szkoły powszechnej im. dr Jana Niemca, gdzie zaliczył dwie klasy. Do trzeciej klasy uczęszczał już do Szkoły Ćwiczeń na Sakramentek. Następnie uczył się u Zimorowicza i Braci Zmartwychwstańców. Szóstą klasę skończył w Nałęczowie, a siódmą ponownie we Lwowie Za Zbrojownią.

Gdy zaczęły się wysiedlenia dostał ze Związku Patriotów Polskich fałszywe świadectwo dzięki czemu mógł pobierać dalsze nauki. W Jeleniej Górze podjął naukę w Liceum Ogólnokształcącym im. Stefana Żeromskiego. Co prawda studia ukończył w Gdańsku ale po kilku latach powrócił do Jeleniej Góry. Początkowo związał się zawodowo z powstającym Technikum Mechanicznym.



(fot. Archiwum O/TMLiKPW)

Krzysztof Bulzacki był wielkim patriotą i popularyzatorem historii. Wygłaszał prelekcje i opowiadał o Lwowie. Swoje wspomnienia umieszczał w książkach. Napisał: „Polacy i Ukraińcy – trudny rozwód”; „Zawsze wierni Tobie Polsko”; „Ludobójstwo lwowskich Żydów”. Był autorem wielu innych pozycji. Pisał, tworzył, opowiadał, jednym słowem utrzymywał historię. Był w tym nieustraszony.

Odszedł 25 grudnia 2015 roku w Sydney w Australii, gdzie przebywał z wizytą u swojej siostry. Był jednym z ostatnich prawdziwych lwowiaków, był człowiekiem, który pamiętał skąd się wywodził i całe swoje życie, do ostatnich dni, wciąż pokazywał jak powinno się kochać swoje rodzinne strony.

W naszej pamięci pozostanie jako inicjator, wraz z Kazimierzem Lelo, powołania do życia jeleniogórskiego oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa.



Kazimierz Lelo



(fot. Archiwum O/TMLiKPW)

Kazimierz Lelo urodził się 15 stycznia 1941 roku w Gródku Jagiellońskim koło Lwowa. Jego rodzicami byli nauczyciele. Nic więc dziwnego, że nauka szła mu bez specjalnych problemów. Ukoronowaniem edukacji było ukończenie studiów na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego.

Kazimierz Lelo od najmłodszych lat włączał się w działalność społeczną i polityczną. W roku 1960 wstąpił do Stronnictwa Demokratycznego. Wkrótce został mianowany przewodniczącym Miejskiego Komitetu SD w Jeleniej Górze, gdzie osiadł na stałe. Na Kongresie w 1995 roku został wybrany przewodniczącym Głównej Komisji Rewizyjnej SD w Warszawie.

Był, wraz z Krzysztofem Bulzackim, inicjatorem utworzenia Towarzystwa Miłośników Lwowa i został wybrany na pierwszego prezesa oddziału Towarzystwa w Jeleniej Górze. Później został wybrany na przewodniczącego Komisji rewizyjnej Zarządu Głównego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich we Wrocławiu.

Niestety jego praca została zakończona 29 maja 1996 roku, kiedy to zmarł nagle. Natomiast dzieło jego pracy trwa dalej, prowadzone przez jego kolegów.



Ocalić od zapomnienia

W 2016 roku odbyła się 10. Edycja konkursu historycznego „Ocalić od zapomnienia” adresowanego do młodzieży szkół gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych Jeleniej Góry i powiatu.

Koncepcja tego konkursu zrodziła się w 2007 r. Po przedstawieniu jej Zarządowi Oddziału Jeleniogórskiego Towarzystwa miłośników Lwowa i Kresów południowo-Wschodnich zyskała akceptację i jednocześnie zapadła decyzja o jej wdrożeniu w życie. Tym samym postawiono na popularyzowanie tematyki kresowej wśród młodzieży. Nad organizacją, przebiegiem przedsięwzięcia oraz realizacją miał czuwać pomysłodawca, członek Zarządu TMLiKPW, Jan Swatowski.

W pierwotnym zamiarze konkurs miał być realizowany dwa razy w roku (wiosna i jesień) – stąd w 2008 roku odbyły się dwie edycje. Jednocześnie do patronatu nad tym zamysłem udało się pozyskać przychylne stanowiska Prezydenta Jeleniej Góry oraz Starosty powiatu jeleniogórskiego.

Tematyka konkursu obejmowała wszystkie aspekty życia Polaków na Kresach Rzeczypospolitej przed II wojną światową, lata gehenny i okres poniewierki w czasie wojny oraz po jej zakończeniu. Lata kiedy Polacy doświadczali zsyłek, deportacji, ciężkich robót i życia w nieludzkich warunkach w łagrach dalekiej Syberii oraz rzezi z rąk nacjonalistów ukraińskich spod znaków OUN-UPA.

Przystępując do konkursu uczestnik był zobowiązany odszukać w swoim środowisku Kresowianina i jego losy w formie opowiadania, kroniki, listu, wywiadu, reportażu poparte materiałem fotograficznym przesłać pod adres siedziby Oddziału jeleniogórskiego TMLiKPW.

Wszystkie nadesłane prace, a każda o ogromnym ładunku emocjonalnym, zostały uważnie i wnikliwie przeczytane i ocenione przez powołaną w tym celu komisję konkursową, którą od początku stanowili: historyk – Jan Dach, polonistka – Marianna Rembus i historyk – Jan Swatowski. W pierwszych latach komisję wspierała także polonistka Elżbieta Kotlarska.

Inną formą pracy z młodzieżą jest organizowanie we współpracy z Zespołem Szkół Licealnych i Zawodowych nr 2 w Jeleniej Górze konkursu gastronomicznego „Smaki kresowe w tradycji kuchni polskiej” dla uczniów szkół gastronomicznych z Dolnego Śląska inaugurującego tzw. Wiosnę Kresową. W zmaganiach uczniowskie reprezentacje przygotowują potrawy wywodzące się z kuchni kresowej. Dotychczas w tym konkur-

sie uczestniczyły reprezentacje ze szkół: Biedrzychowic, Kamiennej Góry, Karpacza, Wrocławia i Jeleniej Góry. Równocześnie uczestnicy tego konkursu mają okazję podziwiać i degustować potrawy kresowe przygotowane przez członkinie TMLiKPW.

Kolejną formą pracy z młodzieżą w ramach Wiosny Kresowej jest seminarium uczniowskie „Bohaterów kresowych wskrzesić czas...” Organizatorem tego wydarzenia pod patronatem OJTMLiKPW jest Zespół Szkół Technicznych „Mechanik” w Jeleniej Górze. Seminarium to stanowi forum prezentacji sylwetek bohaterów przez szkoły sprawujące patronat nad skwerami miejskimi noszącymi nazwy związane z Kresami II Rzeczypospolitej: Skwer Wołyński – Szkoła Podstawowa nr 13, Skwer Lwowski – Gimnazjum nr 1, Skwer Orłąt Lwowskich – Zespół Szkół Technicznych „Mechanik”. W seminarium uczestniczą także reprezentacje szkół zainteresowanych tematyką kresową.

Celem zaprezentowanych form pracy jest nie tylko upowszechnianie wśród młodzieży tematyki kresowej ale przez dramatyczne losy zwykłych ludzi (często bliskich) pokazywanie historii naszego narodu, budzenie dumy i poczucia więzi społecznych a w wielu przypadkach skłanianie do refleksji nad genealogią własnej rodziny.

Prezentujemy Państwu kilka prac uczniowskich, nagrodzonych w latach ubiegłych oraz dwie prace z 2015 roku, które zwyciężyły w swoich kategoriach konkursu „Ocalić od zapomnienia”.

W niniejszym Zeszycie zamieszczamy tylko części opisowe prac, bez dodatkowych załączników.

Pełną listę prac konkursowych dziesięciu edycji konkursu udostępnimy w oddzielnym wydawnictwie.

Moja rodzina

Bohaterką mojej opowieści o Kresach Południowo-Wschodnich jest Maria Antonina Łaszcza. Miało być Antonina Maria, jednak ze względu na to, iż urodziła się 8 grudnia 1933, a ten dzień jest dniem Marii, to pozostało Maria Antonina. Dla przyjaciół Inka.

Jednak może od początku. Czym są Kresy Południowo-Wschodnie? A więc, niczym innym jak wąskim pasem ziem pogranicznych, zwanych „ukrainnymi” w południowo-wschodniej części II Rzeczypospolitej.

Opowieść o swojej historii Maria Antonina zaczyna się od pobytu jej ojca, Aleksandra Łaszcza w Charkowie. Tata Marii trafił tam, ponieważ starał się o polskie obywatelstwo, aby móc wyjechać do Polski. Bez obywatelstwa do Polski jechać nie można było. Tam też urodziłam się 8 grudnia 1933 r. Rodzinne miasto ojca, Miropol, było pogrążone w głodzie i ubóstwie, co sprawiało przykrość nam wszystkim. W ciągu 5 lat pobytu w konsulacie polskim, cała nasza rodzina zbierała i suszyła chleb, aby potem móc robić paczki i je wysyłać do Miropola. Po wojnie okazało się, że w ciągu tych 5 lat tylko dwie z nich dotarły w ręce rodziny i najbardziej potrzebującego czteroletniego Jacka, który był chrześniakiem ojca. Z głodu spuchł, więc było to jeszcze bardziej bolesne. W 1935 roku przeprowadziliśmy się do wujka Dmochowskiego, który mieszkał w powiatowym mieście, Zdobunowie, na Wołyniu.

Ojciec ze względu na swoje wykształcenie muzyczne, dostał pracę jako organista w kościele w Horyńgradzie. Prowadził też chór z byłymi żołnierzami. Swoją drogą szło im bardzo dobrze, ponieważ występowali na różnego rodzaju uroczystościach. Do miasteczka oddalonego o 5 kilometrów od Zdobunowa do Osady Krehowieckiej jechał rowerem. Pierwszym moim „własnym” mieszkaniem była stara plebania w Horyńgradzie. W całym miasteczku było 10 rodzin polskich, 50 rodzin żydowskich i sami Ukraińcy, jednak wszyscy żyli w zgodzie. Na święta przychodziliśmy do siebie, a przy takich zwykłych okazjach pomagaliśmy sobie.

W Horyńgradzie chodziłam do przedszkola prowadzonego przez Halinę Majerską, byłam w nim jedynym polskim dzieckiem. Moja rodzina miała bardzo dobre kontakty ze wszystkimi sąsiadami i mieszkańcami. Przyjaźniliśmy się szczególnie z rodziną Klimczuków, z ich dziećmi chodziłam do przedszkola, pamiętam ich imiona: Lesia i Lowa.

Kiedy wybuchła wojna w 1939 r. miałam 5 lat. Dobrze zapamiętałam 1940 r., kiedy to, mówili, że będą wywozić na Sybir. Władze rosyjskie wyrzuciły nas z domu. Matka,

która przed wojną zajmowała się tylko domem, opiekowała się nami nad wyraz dobrze. Pamiętam z tego okresu, że uszyła mi długi, sięgający aż do samych kostek płaszcz z kurtki ojca. W te najbardziej srogie zimy, kiedy trzeba było chodzić korytarzami śnieżnymi, aby się gdziekolwiek przedostać, płaszcz ten chronił moje małe ciało. Mój ojciec nie mógł się pogodzić z faktem, że stracił fortepian, na którym grał i uczył mnie grać. Po utracie domu, moja rodzina zamieszkała u państwa Bronowickich w Osadzie Krehowieckiej. Wraz z nami mieszkał Leon Majewski, który był przyjacielem rodziny i zarazem urzędnikiem gminy Tuczyń. Mieszkało nas tam siedmioro w jednym pokoju.

Noc 10 lutego 1940 r. była, jest i będzie dla mnie, wtedy małej 6 letniej dziewczynki pamiętną. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłam co to jest rewizja i łapanka. Kiedy spałam, usłyszałam przedziwne hałasy. Jak to małe dziecko z ciekawości wyszłam z łóżeczka i poszłam zobaczyć co się dzieje. Zobaczyłam wszystkich dorosłych po ścianą, z uniesionymi do góry rękami. Co wtedy sobie pomyślałam? Zabawa w chowanego? W ciuciubabkę? Wtedy dostrzegłam trzech mężczyzn z karabinami, którzy przeszukiwali mieszkanie. Po sprawdzeniu dokumentów zabrali całą rodzinę Bronowickich. Ojca też chcieli zabrać jednak po oświadczeniu, że ma polskie obywatelstwo pozwolono mu zostać. Na wywózkę kazali wziąć najpotrzebniejsze rzeczy. Jeden z żołnierzy okazał się mieć serce. Kiedy pozostali jego kompani wyszli, on powiedział, żeby zamiast obrazów brać kury do skrzyni. Pani Bronowicka tak też zrobiła. Po godzinie nieobecności żołnierze wrócili i powiedzieli, że wszystko teraz należy do kołchozu. Branie czegokolwiek jest zabronione. Jednak skrzynię, w której ukryte były kury i jedzenie pozwolili zabrać.

Po tym incydencie moja rodzina znów została wyrzucona i musiała się dalej tulać w poszukiwaniu schronienia. Znaleźliśmy spokojne miejsce w Horyńgrodzie, u rodziny Jadowskich. Córka Pana Jadowskiego, która już nie żyła, przed wojną była moją nianią. Każdemu wydawać by się mogło, że to Niemcy byli najgorsi, jednak nie. Najgorsi byli przyjaciele, z którymi się żyło w zgodzie i pozwalało na wspólne biesiadowanie przy stole. Mówię tu o Ukraińcach. To oni wraz z Niemcami wymordowali wszystkich Żydów, a potem ruszyli na Polaków. Banderowcy nie zabijali szybko i skutecznie tak jak Niemcy. Oni się znęcali nad nami, Polakami. Wydłubywali oczy, odrąbywali kończyny, łamali kości. Myśleliśmy, że gorzej być nie może, jednak rok 1943 był najgorszym z możliwych i zostanie zapamiętany przeze mnie do końca życia. Mój ojciec widząc co się dzieje, starał się uciec z Horyńgrodu. Poszliśmy więc do Zdołbunowa, tam mieszkał mojego ojca wujek, Dmochowski Zdzisław, u którego się zatrzymaliśmy.

Ojciec po upływie kilku tygodni postanowił wrócić, aby wziąć kilka rzeczy, uciekając nie zdążyliśmy nic z sobą zabrać. Jadowscy nie mieli gdzie iść, gdzie uciec, więc zostali w Horyńgrodzie. Tato wracając postanowił odwiedzić swojego starego przyjaciela Klimczuka. Było późno, więc został tam na noc. Nagle słysząc jakieś głosy przerwali przygotowania do snu. Weszło kilku mężczyzn, a mojego ojca gospodarz ukrył w sąsiednim pomieszczeniu. Był tam zakład stolarski. Jak to w zakładzie stolarskim bez trudu znalazł siekierkę i trzymając ją w napięciu czekał. Rozmowy się przeciągały. Ukraińcy siedzieli i mówili, że idą bić Polaków – „Idemo byty Polakiv”. Wyszli dobrze po północy,

a Klimczuk, który był namawiany, aby też pójść na mordownię, został. Wraz z ojcem poszli wzdłuż rzeki Horyń do głównej drogi i tam się rozstali. Dzięki dobrym kontaktom ojca wiedzieliśmy co się dzieje z naszymi znajomymi. Pewnego razu przyszła wiadomość, że państwo Jadowscy zostali zamordowani. Byli przygotowani na to, co się stanie. Co noc spali w stodole, uzbrojeni w widły. Jak na Polaków przystało, nie poddali się bez walki. Kiedy przyszli po nich, Jadowski dźgnął jednego widłami. Napastnicy poszli po pomoc. Wtedy dzieci: Stefan i Stefka mieli czas, aby uciec przez specjalnie wykopaną dziurę i schować się w zbożu. Banderowcy wrócili do stodoły i okrutnie zamordowali Jadowskich.

Następnego ranka dzieci zostały odnalezione i zabrane do Równego, gdzie ksiądz ogłaszał podczas mszy, iż są do oddania. Całe szczęście, że tak się stało, ponieważ banderowcy zabijali w sposób szczególnie okrutny małe dzieci. Łapali je za nogi i uderzali o ścianę. Tak zginęło kilkuletnie dziecko sąsiadów Jadowskich, a rodzice – małżeństwo polskie zostało w bestialski sposób zamordowane. Trzeba przyznać, że ludzie się zgłaszali i brali nieznane dzieci. Dalszy los Stefana i Stefki jest mi nieznany. Wiadomo jest jednak, że jednym z oprawców tej zbrodni był Klimczuk. Ten sam, który wcześniej bronił mojego ojca. Został on potem skazany, kiedy łapano banderowców. Jego żona dostała pomieszania zmysłów z tego powodu. Horyńgród był wolny od Polaków, wszyscy zostali wymordowani lub uciekli. W okolicznych miasteczkach uciekinierów było coraz więcej. Moi dziadkowie, Dmochowscy, odstąpili im nawet dwa pokoje.

W Zdobunowie zaczęłam chodzić do 3 i 4 klasy szkoły podstawowej. Była to szkoła, gdzie nauczyciele mówili, nauczali po polsku, lecz materiał edukacyjny obejmował wiedzę o Rosji Radzieckiej. Wcześniej, jako pierwszoklasistka chodziłam do szkoły ukraińskiej, gdzie porozumiewano się tylko i wyłącznie w języku ukraińskim i byłam jako jedna z nielicznej grupy dzieci polskich. W styczniu 1944 Niemcy zaczęli uciekać na dobre, nastąpił powrót Sowieców. W mojej pamięci pozostanie strzelanina, podczas której schowałam się w piwnicy wraz z innymi mieszkańcami domu. Wtem zapadła cisza. Ta cisza trwała ok. 2 godziny. Sąsiadka poszła sprawdzić co się dzieje, usłyszała wołanie: „Ratunku! Banderowcy”. Jednak to nie byli ci zwyrodnialcy, to była Armia Radziecka, która tym razem okazała się być naszym wybawicielem. W kwietniu 1944 roku, kiedy Kresy były pod rządami Sowieców, wydano rozkaz poboru do wojska mężczyzn w wieku od 18 do 50 lat. Ojciec został szefem kancelarii w 3. Polowym Szpitalu Chorób Wewnętrznych I Armii LWP. Niemcy myśląc, że zdołają coś jeszcze wskórać przed porażką, wysadzili zbrojownię w Zdobunowie. Było to ostatnie bombardowanie, które przeprowadzili Niemcy. Dla mnie, bombardowanie i huk spadających bomb kojarzą się z najtragiczniejszym widokiem dzieciństwa. Pewnego razu, gdy wracałam ze szkoły z koleżanką, zauważyłam na rozstaju dróg konia. Był okropnie ranny, wnętrzości miał na zewnątrz, jego oczy patrzyły na mnie z rozdzierającym smutkiem. Byłam też świadkiem, prawdopodobnie jednej z ostatnich w tamtych rejonach egzekucji wykonanej przez Niemców na banderowcach. Przyjechał samochód, na pace stał banderowiec, któremu zawieszono sznur na szyję. Na targu, gdzie miała miejsce egzekucja było pełno

ludzi. Nie zakryto mu twarzy, a wóz powoli jechał. Zbrodniarz wisiał tam przez tydzień. Nad szubienicą wisiała tabliczka, a na niej był napisany pseudonim banderowcy „Hanna” oraz liczba zabitych Polaków i Niemców. Z tego co pamiętam to ok. 150 osób.

Po wstąpieniu ojca do służby, zostałyśmy same, więc trzeba było jakoś zarabiać. Moja babcia handlowała na targu. Po towar, najczęściej po sól jeździła do Brodów, oddalonych o jakieś 70 km. Potem sprzedawała ją na targu w Zdołbunowie.

Zakończenie wojny będzie mi się kojarzyć z pociągami. W 1945 roku, aby móc wyjechać, trzeba było zapisać się na kartę ewakuacyjną i czekać. 8 maja 1945 roku wraz z matką i córką znajomych Gieni, która była zapisana jako moja kuzynka czekałyśmy na pociąg ewakuacyjny. W tym momencie zaczęła się strzelanina, trzeba było chować się, bo znów nie wiedzieliśmy co się dzieje. Jednak ten dzień okazał się być pamiętnym dniem w historii, to Rosjanie strzelali, wiwatując zakończenie wojny.

Wojna skończyła się 8 maja i tego dnia my również dostaliśmy pozwolenie na wyjazd. Jechaliśmy wagonami towarowymi. Mieliśmy krowę, która dawała mleko, więc mieliśmy co pić.

Mało co brakowało, abym się nie rozdzieliła z mamą, ponieważ chcąc pomóc starszemu panu, który miał ranne nogi, zbierałam liście lecznicze na każdym postoju, gdy pociąg stawał na kolejnych stacjach. Wyskakiwałam wtedy i szukałam liści babki. W pewnym momencie, gdy za daleko odeszłam od wagonów, pociąg ruszył. Ludzie podnieśli głos, a ja co tchu w piersiach biegłam za oddalającym się pociągiem. Maszynista zorientował się i zatrzymał. Mimo takich sytuacji, wiedziałam, że to jest potrzebne i rozumiałam, że trzeba pomagać innym. Jest mi trochę przykro, bo tak naprawdę nie wiem, co się potem stało z tym człowiekiem.

Jechaliśmy dwa tygodnie do Kutna. Pociąg zatrzymał się tam na dłuższy czas. Stał na bocznicu. Na dworcu matka poszła po gorącą zupę, którą dostawaliśmy podczas postojów, a nas wysłała po wodę. Wtedy pijany rosyjski żołnierz zaczął strzelać do mnie i Gieni. Zostałyśmy uratowane przez oficera, który przybył nam na pomoc, dzięki interwencji mojej mamy. Gienia przypomniła sobie, że ma wujka mieszkającego obok Kutna, więc postanowiłyśmy tam zostać. Pytając napotykane osoby odnalazłyśmy wujka Gieni, pana Katarzyńskiego. Mieszkał 10 kilometrów od Kutna. Trafiliśmy do niego.

Ojciec był w Polanicy Zdroju na służbie w wojskowym szpitalu, dla niego wojna nie zakończyła się 8 maja, lecz w październiku, kiedy ostatni żołnierz wyszedł ze szpitala. Stwierdziłyśmy z mamą, że lepiej pojechać do ojca, niż zostać u wujka. Niestety nie było bezpośredniego połączenia do Polanicy Zdroju, więc musiałyśmy pojechać najpierw do Łodzi, potem do Katowic, a z Katowic do Polanicy. Podróż była ciężka. W pociągu nie było miejsca, ludzie stali na łączeniach wagonów. Brud, tłok, hałas. Jednak było warto, by spotkać tatę. Po zakończonej służbie ojca, udaliśmy się do Kłodzka i tam zostaliśmy.

Tak zakończyła się historia dziewczynki urodzonej przed wojną na Kresach. Co się stało po wojnie i jak dalej potoczyło się jej życie?

Otóż w Kłodzku dokończyłam edukację w liceum ogólnokształcącym. W nowym świecie chciałam zapomnieć o bólu, który przeżyłam na Kresach, o wojnie. Dzięki swojej pani geograf poszłam na studia geograficzne. Kiedy otwierali szkołę podstawową

numer 8 w Jeleniej Górze, przeprowadziłam się i zostałam tam nauczycielką. Ojciec zmarł w 1985 roku na Dolnym Śląsku. Wysłałam szczęśliwie za męża i mam dzieci, wnuki, a nawet prawnuki.

Pytana o to czy wiem, co się stało z pozostałymi członkami rodziny odpowiadam w sposób prosty – zginęli. Dziadek Łaszcz został wywieziony na Sybir. Wujkowie również podzielili jego los. Babcia zmarła w więzieniu w Żytomierzu. Reszta rodziny trafiła do Kazachstanu. Nie wiem, gdzie są groby rodzinne. W Polsce nie ma nikogo z rodziny. Nie wiem też czy dzieci, z którymi się bawiłam w dzieciństwie, Lesia i Lowa żyją i co się z nimi stało, po tym jak ich matka zwariowała. W Zdołbunowie raz jeszcze byłam tylko w 1992 roku. Nie mam żalu do ludzi, którzy sprawili, że moje dzieciństwo było takie, a nie inne. Chcę tylko, aby w końcu ktoś przyznał, że to było ludobójstwo. Moje serce nie należy do Kresów Wschodnich, jednak łza w oku się kręci, kiedy mówi się o takich przeżyciach. Odpowiadając na ostatnie pytanie, czy wydarzenia z tamtych lat, rzeczy które widziałam w jakiś sposób na mnie wpłynęły, odpowiadam w bardzo wyraźnych, klarownych słowach „Żalu nie mam, nie wpłynęło to na mnie, jestem wdzięczna, doceniam to, że Kresy wychowały tak wielu wspaniałych ludzi”.

Czytając książki o Zdołbunowie, które napisał Romuald Wernik, czuje się jakby to były moje własne wspomnienia. Cieszę się, że chociaż cząstka tak wspaniałej historii jest gdzieś zapisana.

Historia mojej rodziny

Pewnego sierpniowego dnia 2012 roku dziadek Józef Pulter, mieszkający w Piechowicach koło Jeleniej Góry, odebrał telefoniczną wiadomość, że jest poszukiwany przez jakiś ludzi, którzy zatrzymali się koło sklepu osiedlowego, są „z dalekiej drogi...” i szukają Józefa Pultera, którego „...tata pochodził ze wschodu...”.

Zaskoczenie było ogromne. Gdy po kilku minutach dziadziuś się tam zjawił, podszedł do niego nieznajomy starszy, dystyngowany pan i oznajmił, że nazywa się Stanisław Pulter i jest bratem Władysława Pultera – ojca mojego dziadka. Od razu przedstawił też wszystkich, z którymi przyjechał. Swoją córkę Larysę, jej męża Wadima oraz ich córkę, a jego wnuczkę Lenę. Wszyscy zostali zaproszeni do domu moich dziadków – bo, jak mówi stare powiedzenie ze wschodu – „Gość w dom to Bóg w dom”. Wtedy zadzwoniła do moich rodziców babcia Asia, która jest żoną dziadka Józefa i przekazała nam informację, byśmy jak najszybciej przyjechali, bo odnalazła się rodzina ze strony dziadziusia, której nikt po II wojnie światowej nie widział i nawet nie wiedział, że oni żyją! Po kilkunastu minutach wraz z rodzicami dołączyliśmy do zebranych, i wtedy wujek Stanisław Pulter – brat mojego pradziadka – zaczął opowiadać o losach naszej rodziny, były one bardzo interesujące i wprowadziły nowe światło do historii rodziny Pulter, o której nawet mój dziadek Józef nie wiedział wielu rzeczy.

Mój pradziadek (tato mojego dziadka Józka) zmarł w bardzo młodym wieku, po prostu położył się na łóżku i zasnął. O swojej rodzinie opowiadał bardzo mało, więc siłą rzeczy wiedzieliśmy o niej niewiele.

Na początku brat mojego pradziadka powiedział o sobie. Wujek Stanisław jest emerytowanym rektorem Uniwersytetu w Żytomierzu. Odwiedził swoją córkę Larysę, która również jest pracownikiem naukowym na Uniwersytecie w Żytomierzu oddelegowaną do prowadzenia wykładów w Bratysławie, gdzie mieszkała z rodziną. Larysa mając pewne przypuszczenia co do reszty rodziny, zainteresowała się jej losem i korzeniami, i to co ustaliła, znajduje się w drzewie genealogicznym.

Wujek, wiedząc, że jego brat mieszkał w Polsce, odnalazł jego grób, który znajduje się w Lubaniu, a następnie trafił do Piechowic (został poinformowany, że tam żyje syn jego brata). Opowiedział, jak doszło do sytuacji, że rodzina została rozdzielona.

W 1930 roku w nowo powstałym komunistycznym Związku Radzieckim nastąpiła nacjonalizacja gospodarstw rolnych – zabierano ziemię chłopom i stworzono przedsiębiorstwa rolne nazywane „kołchozami”, a majątnych chłopów i właścicieli ziemskich

bardzo prześladowano. Między innymi bezmyślna polityka zarządu rolnego doprowadziła do „wielkiego głodu”. W tym czasie, kiedy ta informacja za pomocą różnych kanałów relacji bezpośredniej oraz gazet rozeszła się po świecie, moim prapradziadkom chciał pomóc ich znajomy, który kilka lat wcześniej popłynął do Kanady. Wysłał on kilka razy pieniądze schowane w paczce w ubraniach, było tego 50 dolarów kanadyjskich.

Ktoś się dowiedział o tym we wsi i doniósł do służby bezpieczeństwa (polityczna milicja). Wtedy złapano go i oskarżono, że jest szpiegiem i w zamian za tajne informacje – nie wiadomo jakie – ktoś zapłacił mu dolarami. Za to został skazany na zsyłkę i tułaczkę po Syberii bez prawa kontaktu z bliskimi. W taki sposób nasz prapradziadek, który nazywał się tak jak ja – Aleksander Pulter trafił do syberyjskiego łagru, a jego żona została wyrzucona ze wsi i z ich dziećmi: Władysławem – moim pradziadkiem oraz jego siostrą Bronisławą musiała przejść pieszo 200 kilometrów do zupełnie innego, obcego obwodu administracyjnego. Mały, kilkumiesięczny Stanisław Pulter (trzecie dziecko) został ukryty przez siostrę swojej matki i udawano, że jest to jej dziecko. Praprababcia Marcelina, żona zesłanego Aleksandra, zatrudniła się jako kucharka w kołchozie, ale pomimo tego było jej bardzo ciężko. Dzieci rozpoczęły naukę w szkole, zajmowały się sobą i pomagały, jak potrafiły w pracach domowych, kiedy ich mama pracowała całe dnie. Mieszkali w małym pokoju z kuchnią i tak płynęło im życie, bardziej źle niż dobrze. Cały czas ciążyło na nich piętno „wrogów komunistycznego narodu”, bo ich ojciec został skazany za szpiegostwo – nikogo nie interesowało, że niesłusznie.

Żyli tak do wybuchu II wojny światowej, wtedy to mój pradziadek Władysław postanowił zaciągnąć się do II Armii Wojska Polskiego. By móc walczyć ukrył swój prawdziwy wiek, a miał wtedy 13 lat. Do wojska przyjmowali od 16 roku życia, a ponieważ dobrze wyglądał – był wysoki i silny, wydawał się poważniejszy niż było to w rzeczywistości. Przeszedł cały szlak bojowy, wyzwalał m.in. nasze tereny. W wojsku służył jako zwiadowca. Po wojnie skierowano go na ziemie odzyskane i tak znalazł się na Górnym Śląsku w Raciborzu, dokąd wytransportowano wielu Zabuzan. Tam zamieszkał i założył rodzinę.

Po roku 1944 moja praprababcia wraz z córką Bronisławą wróciła pod Żytomierz gdzie spotkała się ze swoją siostrą oraz trzecim dzieckiem, które zostało oddane w opiekę – synem Stanisławem. Zaczęto szukać dziadka Aleksandra. Okazało się, że został rozstrzelany w 1938 w miejscu zsyłki.

Mając dość tułaczki moja praprababcia Marcelina postanowiła zostać w „domu” i nie wyjeżdżać na ziemie odzyskane. Pracowała jako kucharka, a dzieci: Bronisława i Stanisław uczyły się, a po zdobyciu wykształcenia podjęły pracę i założyli rodziny.

Dzisiaj żyje już tylko wujek Stanisław. Po studiach podjął pracę na uczelni, ożenił się z Katarzyną z zawodu nauczycielką, pracował na Uniwersytecie pełniąc funkcję rektora. Jego dwie córki Olena i Larysa poszły w ślady ojca i również pracują na uczelni.

By poznać bliżej odnalezioną rodzinę i nacieszyć się swoją obecnością w lipcu 2013 roku udaliśmy się z dziadkami i mamą na wakacyjny wyjazd do Żytomierza, gdzie spędziliśmy cudowne dwa tygodnie. Poznaliśmy rodzinę Cioci Bronisławy oraz wujka Stanisława. Obecnie wujek mieszka w domu w malowniczej dzielnicy Żytomierza położo-

nej nad rzeką Tietierewką. W tych okolicach natchnienia dla swojej twórczości szukał Józef Ignacy Kraszewski.

Wujek aktywnie działa w Związku Polaków w Żytomierzu – sam posiada Kartę Polaka, co w obecnej sytuacji jest bardzo ważne. Cały czas pisze książki, ostatnio ukazała się pozycja opisująca dzieje naszej rodziny. Postarał się także, by jego ojciec Aleksander Pulter, niesłusznie osądzony i skazany został zrehabilitowany – i chociaż nie zwróci mu to życia, został oczyszczony z zarzutów i wyrok skasowano, a z rodziny zeszło piętno zdrady.

Jak już wspominałem w lipcu 2013 roku na zaproszenie odnalezionej rodziny oraz za namową moich dziadków Józefa i Joanny Pulter wraz z moją mamą Justyną Pulter udaliśmy się do Żytomierza, który obecnie leży na terytorium Ukrainy.

Pomimo młodego wieku miałem okazję zwiedzić już wiele europejskich krajów, lecz ta podróż była wyjątkowa, ponieważ pierwszy raz wyruszyłem na wschód. Po około 16 godzinnej podróży dotarliśmy na miejsce. Przy suto zastawionym stole czekała na nas cała rodzina – wujek Stanisław oraz jego dwie córki wraz ze swoimi bliskimi.

Moją szczególną uwagę zwrócił okrągły, pachnący bochen chleba położony na ozdobnym talerzu. Po serdecznym powitaniu, któremu towarzyszyły łzy wzruszenia, po zajęciu miejsc przy stole najstarszy z rodu tj. wujek Stanisław uniósł talerz z chlebem i uroczyście przywitał zapraszając nas do ich domu i stołu. W przyjemnej i wyjątkowej atmosferze wspominaliśmy nasze pierwsze spotkanie po latach, opowiadaliśmy o przebytej podróży i cieszyliśmy się wspólnie naszą obecnością. Podczas pobytu u naszej rodziny, którą los pozostawił po wojnie w miejscu ich narodzin, ale już innym państwie i układzie geopolitycznym, nasi gospodarze zadbali o to, abyśmy zobaczyli i dowiedzieli się o tradycji naszych przodków, która tam na kresach pozostaje żywa oraz ich codziennym życiu.

Dzięki tradycyjnej polskiej, wschodniej gościnności miałem okazję zobaczyć miejsca życia moich przodków. Odwiedziliśmy między innymi: Czortków, Kołomyję, Kijów, Winnicę oraz wiele innych miejscowości. Miałem okazję zasmakować w regionalnych potrawach, które różnią się od tego do czego przywykłem. Były bliny, babka ziemniaczana, pieleminie. Okazało się, że nasza rodzina jest bardzo muzykalna i wielokrotnie nucono i śpiewano polskie pieśni i piosenki.

Przez cały pobyt miałem wrażenie, że jestem traktowany jakoś wyjątkowo szczególnie przez wujka Stanisława i synów jego siostry Bronisławy. Jak się później okazało, podczas oglądania zdjęć naszej rodziny, jestem bardzo podobny do mojego prapradziadka również Aleksandra i obecnie na mnie spoczywa odpowiedzialność za przedłużenie linii Pulter. Jestem jedynym mężczyzną w ostatniej linii, który nosi nazwisko Pulter.

Bardzo cieszę się, że dane mi było uczestniczyć w spotkaniu nieznanej bliskiej rodziny, przeżyć te emocje oraz odkryć piękno kresów, przysłowiowej polskiej gościnności i tworzyć rodzinne ciepło które promieniuje w moim sercu do dziś.

JOANNA ŁUKASZEWICZ

Liceum Ogólnokształcące im. Stanisława Lema w Kowarach

Wspomnienia Bogumiła

Wspomnienia o. Bogumiła Stachowicza, który zamieszkiwał Kresy Południowo-Wschodnie. Urodził się i mieszkał w Łoszniowie zarówno przed wybuchem II wojny światowej jak i chwilę po niej.

...w 1938 roku uczęszczałem do 1 klasy podstawówki. W klasie byliśmy wszyscy razem: Polacy, Rosjanie, Żydzi. Siedziałem w ławce z Żydem, chodził z nami na katechezę. Obowiązywały dwie religie: grekokatolicka – cerkiew i katolicka – kościół. Nie było wtedy jeszcze prawosławia. Na kościół nakładano „Kult zbir” czyli za każdy kwadrans Mszy Świętej większe podatki. Miałem wspaniałych rodziców i rodzeństwo. Jeden z braci był w szkole wojskowej w Jarosławiu, drugi zaś należał do Stowarzyszenia Strzeleckiego. Wiodło nam się bardzo dobrze, chętnie pomagałem ojcu w polu, a także w pracach domowych. Kiedy wybuchła wojna 1 września 1939 roku było to coś potwornego, latały chmury samolotów, dochodziło do bombardowania punktów strategicznych. 17.09.1939 roku do naszej wioski wkroczyli Rosjanie. Wyglądali nędznie, mieli na sobie robocze, a zarazem brudne buty, nie mieli koszul. Karabiny były przyczepione na sznurku lub trzymali je w rękach. Zaczęli uświadamiać społeczeństwo, szczególnie mężczyzn, aby udawali się z numerami do instruktazu tak zwanego politycznego. Mężczyźni początkowo zgłaszali się, ale później już tylko nieliczni. Rosjanie założyli kołchozy, czyli obozy, spółdzielnie gospodarczo-produkcyjne. Zmuszano niektórych do wstąpienia. Myśmy chodzili wtedy do szkoły, byłem w drugiej klasie. Cofnęli wszystkich o rok do tyłu, w szkole obowiązywał język rosyjski. W 1939 roku Sowietci głosili hasło: „Sowieci na cały świat”.

W roku 1941 wkroczyły oddziały niemieckie, z którymi współpracowała ukraińska milicja. Kiedy mój brat wyszedł z domu, został złapany przez milicję, postraszyli go, ale skończyło się, na szczęście, bezboleśnie. Po żniwach występowały bardzo silne pożary, które trudno było ugasić.

Ukraina napadła, mordowała i niszczyła wszystko co napotkali na swojej drodze. Zabierali konie, robili co im się podobało.

Przez naszą wioskę płynęła rzeka Gniezna, w której można było wylawiać małże i raki. Woda była bardzo czysta, w sam raz do kąpieli. Jednak gdy w czasie trwania wojny wyłowiono z niej 40 trupów, bałem się do niej wejść. Byłem zdruzgotany tym co się dzieje wokół, miałem taki jakby wstręt i przerażenie, żeby się w niej zamoczyć.

W listopadzie 1942 roku opiekun naszej wioski SS-man Szklarek łapał młodzież na wywózkę do pracy do Niemiec. Kiedy przyszedł do sąsiada, przebywało u niego dwóch mężczyzn, którzy chcąc uniknąć wywiezienia na roboty do Niemiec, ukryli się w sianie.

Mój kuzyn Albin Rejczak-Czarkowiec należał do młodzieżowego batalionu, który rozbił bandę banderowską (35 osób).

Dnia 10 marca 1944 roku o godzinie 4.00 nad ranem przyjechał czołg „Suszczyń”, który strzelił w kierunku Trembowli. Kiedy nie było za dnego odzewu ruszyły oddziały rosyjskie. Zostały one zbombardowane przez Niemców.

Były bardzo ciężkie czasy, trzeba było obowiązkowo oddawać Rosjanom i Niemcom kontyngenty zboża, mięsa, mleka. Było to dla wszystkich bardzo uciążliwe.

W roku 1944 jechałem z moim ojcem i bratem w pole. W lesie zatrzymali nas Rosjanie i powiedzieli: „(...) dawaj łyżec, dawaj konia”. Oni dali nam w zamian marną szkapę, był to bardzo spokojny i dobry koń. Miał tylko bardzo ciężkie podkowy, które mogły uszkodzić mu nogi. Bardzo dobrze się nim jeździło. W związku z trwającą wojną i występującymi zdarzeniami jeden z braci musiał udać się na front aby służyć ojczyźnie.

Dnia 8 maja 1944 roku Rosjanie powoływali mężczyzn do wojska. W tym czasie moi rodzice rozchorowali się i musiałem wszystko robić sam. Mieliśmy parę koni. Pracowałem w polu i wypełniałem obowiązki matki i ojca. Jeździłem koniem po polu, orałem je i obrabiałem. Była to bardzo ciężka i wyczerpująca praca, ale nie miałem wyboru, gdyż byłem już w takim wieku, aby pomagać rodzicom. W dzisiejszych czasach do orania pola i obrabiania wykorzystuje się traktory, pługi i tym podobne, a ja musiałem robić to przy pomocy konia.

W wiosce była młocarnia, która młóciła gospodarzom zboże, pszenicę, jęczmień, owies, żyto i grykę. Początkowo nic nie umiałem i nie miałem wprawy, ale przy pomocy mojej kuzynki bardzo dobrze nam to szło. Miło przy tym spędzaliśmy czas.

W momencie kiedy front zbliżył się do nas, było spokojnie, a gdy żołnierze odeszli to Ukraińcy zaczęli mordować, napadali na całe wioski. Gdy pasłem krowy w lesie, to za mną strzelali, a kiedy kopałem ziemniaki (w 1944 roku) to kule gwizdały mi nad głowami. Ukraina penetrował wioski, przychodzili do domów, mordowali i zabierali konie oraz przydatne rzeczy.

W kierunku Mikulic pomiędzy Krówniką a Strusiowem w lesie był magazyn broni, granatów i tym podobnych. Niemcy ukryli go tam po to, by nikt go nie znalazł. Wielki Czwartek 1944 roku poszedłem do tego magazynu po broń, granaty i zaniósłem do domu, a następnie przekazałem ojcu aby się tym zajął. Zabrałem je po to, by w razie czego mieć się czym bronić.

(...) W Łoszniowie mieszkaliśmy na terenach podmokłych, wszędzie była wilgoć. Było bardzo mało drzew owocowych, jedynie rosła grusza i śliwa. Do sadów po owoce chodziliśmy pod Trembowlę. Razem z kuzynami, których nazywano „grudziaki” chętnie tam przesiadywaliśmy.

Z Kościoła Rosjanie zrobili przechowalnię zboża natomiast w zakrystii przetrzymywali różne płyny, narzędzia i tym podobne. Zapach był nie do wytrzymania, czuć go było wokół całego kościoła.

W roku 1945 można było wyjechać z dotychczasowych miejsc zamieszkania. Ojciec podjął decyzję o wyjeździe, zabrał najcenniejsze i najpotrzebniejsze rzeczy, między innymi: krowę, konia, narzędzia i wyruszyliśmy. Pociągiem pojechaliśmy do Trembowli. Banderowcy obrzucali nas kamieniami, jeden z nich trafił mnie w rękę. W trakcie postoju pociągu, moja mama gotowała na poboczu (na ognisku) jakąś zupę. Kiedy pociąg ruszał trzeba było szybko do niego wejść. Mama podała mi gorący garnek z zupą. Nie miałem jak się ruszyć, gdyż ugrzęzła mi noga. Dzięki szybkiej pomocy innych ludzi udało uratować się moją stopę, która nie była aż tak spłaszczona. Od 24 do 28 czerwca mieszkałem u kuzynki. W domu była strażnica, która broniła się przed banderowcami. 28 czerwca skierowali nas na Wrocław, na stację Brochów. Mieszkaliśmy na stacji w magazynach kolejowych. Panował tam chaos, mieszkaliśmy z wieloma rodzinami. Wszędzie różne rodzaje robaków, wszy. Doskwierał wszystkim brak chleba, mydła i proszku. Mieszkaliśmy tam przez 6 tygodni. Na początku sierpnia skierowano nas na Strzelin.

Zamieszkaliśmy na osiedlu „Gołosowice”. Budynek był bardzo uszkodzony i zniszczony. Mieszkaliśmy razem z Niemcami. Tak naprawdę jechaliśmy w nieznane, martwiąc się o własne życie. Dotychczas było bardzo trudno, wszyscy martwiliśmy się o swoje rodziny i dobytek. Żyliśmy pełni strachu i lęku.

Po zakończeniu wojny wstawałem wcześniej rano i jeździłem na rowerze przed godziną 7.00 do szkoły. Znajdowała się ona na Górze Strzelińskiej, uczyła mnie Pani Helena Lubińska z Polesia. Moim zdaniem była ona prawdziwą patriotką, gdyż miała wielkie umiłowanie do swojego kraju i była gotowa do poświęcenia się dla niego. Pani Helena uczyła między innymi: języka polskiego, matematyki, historii. Można było przejść (zdać) dwie klasy w ciągu jednego roku szkolnego.

Początkowo w swoich młodzieńczych marzeniach planowałem studiować handel zagraniczny albo architekturę. Wybrałem jednak powołanie kapłańskie. Co wpłynęło na zmianę mojej decyzji? W roku 1948 wstąpiłem do Rycerstwa Niepokalanej, a 17 maja 1949 roku przyjąłem sakrament bierzmowania. Praktykowałem pierwsze piątki miesiąca, a także brałem udział w odprawianiu drogi krzyżowej. Czytałem wiele książek między innymi: „Mocarz” o Św. Andrzeju Boboli, „Dwie Korony” Gustawa Morcinka o św. Maksymilianie, a także „Qvo vadis” Henryka Sienkiewicza i wtedy zacząłem zastanawiać się jaką mam właściwie wybrać drogę życia. Moją decyzję upewniło pewne wydarzenie z końca kwietnia 1949 r.. Wracałem z kolegami z gimnazjum w Strzelinie na rowerze do domu i zadałem pytanie: „co to jest powołanie”, teraz nie pamiętam już odpowiedzi, ale to właśnie ona pobudziła we mnie wolę wstąpienia do Zakonu Franciszka. Dowiedziałem się, że przyjmują do seminarium Św. Franciszka, tak więc napisałem prośbę o przyjęcie mnie do zakonu. Otrzymałem pozytywną odpowiedź pod koniec lipca 1949 r., podpisał ją Ojciec Prowincjał Wojciech Zmarz, który przyjmując do nowicjatu przyoblekł mnie w habit franciszkański i nadał mi imię Bogumił. Było to 30.08.1949 rok w Łagiewnikach koło Łodzi.

KATARZYNA KUBICIEL

Liceum Ogólnokształcące im. Stanisława Lema w Kowarach

Wspomnienia Janiny

Drogi Pamiętniku!

Witam Cię. Nazywam się Janina Łoś i urodziłam się 17.02.1931 roku, w Zaścianku Bronisławowo, 70 km od Wilna. W domu mieszkam z mamą, tatą i pięciorgiem rodzeństwa, w tym ze starszą siostrą Franciszką, na którą wszyscy mówimy Frania. Urodziła się w roku 1927, a tak dokładnie to 2 kwietnia. Właśnie kończę 1 klasę podstawówki i Pani poprosiła nas o założenie pamiętników. Mamy pokazać jej go za rok. Ja postanowiłam nazwać cię Tadzio. Wiesz, chciałabym żebyś został moim przyjacielem. Będiesz nim, prawda? Muszę już iść. Mamusia woła nas na kolację. Niedługo znów do ciebie wrócę Tadzio.

30 czerwca 1939

Dziś właśnie skończyłam 1 klasę. Nasza Pani wychowawczyni przypomniała nam o pamiętnikach, zwłaszcza teraz, gdy zaczęły się wakacje. W trakcie wakacji będę bawiła się z najlepszą przyjaciółką Henią Kokoszką. Moja matula przyjaźni się z jej mamą, zawsze przygotowuje nam jakieś smakołyki. Rozmawiałam dziś z tatą. Ach, zapomniałam ci powiedzieć coś o naszym gospodarstwie. Mój tata wyjechał do Ameryki w 1910 roku i spędził tam 12 lat. Zarobił pieniądze i wrócił do Polski. Kupił wtedy 28 ha ziemi, co oznacza 14 zaścianków. Powodzi nam się całkiem dobrze. Do miasta mamy jakieś 1,5 km więc chodzimy tam tylko wtedy gdy coś potrzebujemy. Wakacje spędzę pewnie na zabawie z Henią i innymi dziećmi nad strumykiem. Tatuś mówi, że jestem jeszcze za mała, żeby mu pomóc w polu. Właśnie! Nie wspomniałam, że mam 8 lat. Od września zaczynam drugą klasę i nie mogę się doczekać, kiedy pokaże Cię mojej Pani.

2 września 1939

Tadzio, co się dzieje? Byłam wczoraj w szkole. Wiesz, zapisałam parę stron w zeszycie i chciałam się pochwalić rodzicom. Gdy wracałam ze szkoły poszłam do taty na pole. Pokazałam mu to, ale coś było nie tak. Pogłaskał mnie po głowie i się rozpłakał. Przecież tatuś nie płacze. On nigdy nie płakał. Przytuliłam go, a on powiedział, że mam iść na obiad do domu. Tadzio ja nie wiem, co się dzieje. Powiedziałam to mamusi, a ona też się rozpłakała. Powiedziała mi, że wojna się zaczęła. Ale przecież rodzice nigdy się nie kłócili i byli mili dla innych, a wojna nie dotyczy dobrych ludzi, prawda?

Październik 1939

Już wiem, że wojna zabiera wszystkich ludzi. W nocy leżałam w swoim łóżeczku i ciągle słyszałam huk bomb. To Niemcy bombardują Wilno. Tak powiedział mi tato, który usłyszał to w naszym radio. Mój kochany pamiętniku, chciałabym, żeby ta wojna się już skończyła.

Czerwiec 1943

Czasami zastanawiam się „kiedy umrę”. Wiesz Tadeu od paru miesięcy przychodzą do nas żołnierze Armii Krajowej. Robią tak zwane „dniówki”. W nocy rozkładają miny w okolicznych lasach, a w dzień przychodzą na nasze gospodarstwo i odpoczywają. Zatrzymują też wszystkich, którzy przechodzą w pobliżu, skracając sobie drogę do miasta. Spytałam się kiedyś pewnego kapitana, którego nazwiska już nie pamiętam, dlaczego to robią. Wiesz co mi powiedział? Robią to, bo ktoś mógłby donieść Niemcom, wtedy, nawet gdyby nie było u nas AK-owców, mogliby zagonić nas do stodoły i spalić żywcem. Bałam się przyjacielu. Strasznie się bałam. Potem tamci odeszli ale pojawili się nowi partyzanci. Znaczą się, najpierw pojawili się Rosjanie. Nie byli to żołnierze tylko zwykli złodzieje. Po nich pojawili się litewscy partyzanci. Szukali ich radzieccy żołnierze. Ci nie zabijali ludzi, tylko wsadzali ich do więzienia, a dzieci zabierali do domu dziecka. Pamiętam, że wtedy płakałam, a tata błagał ich, żeby sobie od nas poszli, ale oni wtedy go uderzyli i tatuś już nigdy im nie zabraniał przychodzić do nas. Wiedział, że mogliby nam zrobić krzywdę.

31 grudnia 1946

To koniec. Właśnie wtedy to wszystko się skończyło. Na początku października rozpoczęły się wywózki na Sybir. Jakimś cudem mój tata się o tym dowiedział. Uciekliśmy na Białoruś. Mieliśmy jakieś 3 km. Po czterech dniach mama chciała wrócić i sprawdzić czy Rosjanie już sobie poszli. Wraz z siostrą nie pozwoliłam jej na to. Ja mam już 15 lat, a Frania 19. Mieliśmy przecież młodsze rodzeństwo. Gdyby coś się stało mamie, nie poradzilibyśmy sobie. Poszłam więc ja z siostrą. Dobrze, że cię wtedy wzięłam. Na miejscu okazało się, że to pułapka. Zabrali mnie i Franie tak jak stałyśmy i wrzucili do bydłych wagonów. Zostaliśmy skazani na wywózkę, tylko dlatego, że nasza rodzina miała trochę więcej ziemi, niż komunizm pozwala. Nazwali nas kułakami. Podróż na Ural trwała trzy miesiące. Dotarliśmy tam 27 grudnia 1946 roku. Dowiedziałam się ostatnio, że rodzice zostali wywiezieni do Krasnojarska. Wsadzili nas do baraków razem z 28 innymi osobami. Każdy barak ma trzypiętrowe łóżka. Pozostałości po więźniach. Nie ma tu stolików ani szafek. Wszędzie jest zimno. Na dodatek nie możemy kupić żadnego jedzenia. Dostawy jedzenia są tutaj tylko latem. Do najbliższego miasta prowadzi jedna droga. Jest to coś podobnego to torów kolejowych, tylko zrobione jest z drewnianych desek. Wszędzie pełno jest błota. Latem samochody dostawcze mogą tędy dojechać, ale zimą tory są zasypane i nieprzejezdne. Jeśli latem nie dostarczy się odpowiedniej ilości jedzenia, to zimą jest naprawdę ciężko. Cała nasza wioska wygląda jak osiedle pełne ba-

raków. Mieszka tu może jakieś 1000 osób. W większości są to młodzi jeńcy niemieccy, których wykorzystuje się do niewolniczej pracy. Powiedziano mi i siostrze, że będziemy pracować w lesie. Zimą będziemy wycinać drzewa, a latem i wiosną karczować lasy. Siać i orać nowe tereny, a także uprawiać ziemniaki. Ostrzegli nas żeby nie próbować ucieczki bo i tak nam się nie uda, a kara jeśli nas złapią jest tylko jedna. Chyba nie muszę wspominać jaka...

28 czerwca 1953

Drogi Pamiętniczku!

Jak dawno już tak nie zaczynałam. Spędziliśmy na Uralu 7 lat. Było ciężko. Bardzo ciężko. Na początku rzeczywiście razem z Franią pracowałyśmy w lesie. Przepisowo w wymiarze 9 godzin dziennie od 8.00-17.00. Nikt niestety nie wspomniął, że do stanowiska pracy jest 10 km drogi. Płacili nam jakieś 120-130 rubli. Jedliśmy tylko margarynę, ziemniaki i makaron. To było piekło. Parę razy zdarzyło się, że nie było nawet tego w sklepie. Wtedy zabrali nam wypłaty, a zamiast tego wybudowali ogólną stołówkę. Jedzenie było podłe, ale mieliśmy je chociaż zapewnione. Później wysłali nas do pracy w haziastwie. Było tam jakieś 100 koni, które codziennie trzeba było oporządzić. Pracowałam tam od rana do wieczora. W ciągu roku mieliśmy może wolne jakieś 4 niedziele. Nie życzyłabym tego nawet najgorszemu wrogowi. Później, gdy Stalin zmarł, ograniczenia dla ludności cywilnej zostały trochę poluzowane. Mogłyśmy pojechać do rodziców do Krasnojarska. Oczywiście skorzystałyśmy z tej możliwości.

Do wagonów weszłyśmy 18 marca. Nie pojechałyśmy jednak bezpośrednio do rodziców. Po drodze zatrzymałyśmy się w Nowosybirsku gdzie trzymali nas w więzieniu przez 2 miesiące. Potem znowu do wagonów i tak po trzech miesiącach przybyłyśmy do celu. Był to 23 czerwca. Na stacji zapakowali nas w wywrotki i zawieźli pod miejsce budowy sali sportowej dla jakiejś Politechniki. Byli już tam budowlańcy. Zostawili nas pod płotem i odjechali. Razem ze mną i siostrą były dwie Rosjanki, dwie Łotyszki i Ukrainka. Gdy przyszli Rosjanie, Łotysze i Ukraińcy zabrali pozostałe dziewczyny, a ja z siostrą zostałyśmy same. Nadchodził już wieczór, Weszłyśmy z siostrą do korytarza. Tam znaleźli nas Litwini, którzy zaproponowali pomoc. Okazało się bowiem, że potrafię się z nimi porozumieć. Moja siostra nie chciała iść, ale gdybyśmy zostały na zewnątrz ktoś mógłby nas nawet zabić. Przenocowaliśmy więc u Litwinów, a rano poszliśmy zarejestrować się do pracy. Najpierw trzeba było wybrać się do Dyrektora. On wypytywał o zawód, a następnie dawał karteczkę gdzie zapisane było na jakie stanowisko szukać pracy i z tym szło się do Działu Personalnego. Gdy przyszła moja kolej, opowiedziałam Dyktorowi o tym, co robiłam, a on stwierdził, że jestem na tyle bystra, że da mnie na brygadzystkę. Nie chciałam tej pracy. Do mnie należało rozliczanie pracowników. Wiedząc, że np. malarz zarabia określoną kwotę musiałam zmniejszyć ją o jakieś 10%, bo taki był odgórny rozkaz. Dostawałam za to jakieś 20 rubli więcej. Nie chciałam się tego podjąć. Zdenerwowałam tym Dyrektora i wtedy powiedział, że trzeba było mnie zastrzelić już dawno temu, a nie przywozić tutaj. Odpowiedziałam, że proszę bardzo,

dlaczego nie zrobi tego teraz, a ten tylko podał mi karteczkę i wysłał mnie za drzwi. Dostałam pracę na budowie. Ktoś jednak powiedział, że Dyrektor mnie wzywa. Gdy podeszłam pod jego gabinet, właśnie ktoś wychodził, a na krzesłach czekały jeszcze 3 kobiety. Ten jednak zawołał mnie i przeprosił za wcześniejsze zachowanie. Powiedział, że wie, że jest mi ciężko, ale mam dopiero 22 lata i całe życie przede mną. Kiedyś będzie lepiej. Pamiętam, że tamtej nocy nie mogłam zasnąć...

Maj 1954

Witaj Tadeu. Jestem tu już od niecałego roku. Pracuję na budowie. Ciężka to praca. Nosimy worki z piaskiem, cementem, cegły i inne tego typu rzeczy. Zarabiam jakieś 160 rubli miesięcznie. W porównaniu, wiadro ziemniaków kosztuje 30 rubli. Mieszkam razem z siostrą. Kupujemy czasami te ziemniaki i gotujemy z nich zupę. Musimy coś przecież jeść. Resztę odkładamy na jakieś buty albo cieplejsze palto na zimę. Nie jest lekko, ale nie tylko nam. Ostatnio przywieźli do nas na budowę maszyny. Przyszedł do mnie Dyrektor, który chyba po tamtym incydencie ma do mnie jakiś sentyment, i zaproponował mi kurs obsługi maszyn, na co zgodziłam się pod warunkiem, że zapisze też moją siostrę. Kurs nie trwał długo i obie go zaliczyłyśmy. Nie miałam nawet pojęcia, że potrafię się porozumieć po rosyjsku.

Po skończonym parotygodniowym kursie wróciłam do pracy. Wtedy do mojego majstra zadzwonił Dyrektor i kazał zebrać mi wszystkie swoje rzeczy, a potem pójść do Domu Sowiet, który pełnił rolę Urzędu Miasta. Tam zostałam zatrudniona wraz z siostrą przy maszynach. Nasza pensja wzrosła do 220 rubli. Później jakoś tak wyszło, że Dyrektor gdy dowiedział się, ile zarabiamy zaprowadził nas do rachunkowości i polecił pani tam pracującej dać nam premię od przyszłego miesiąca. Nie napisał jedynie pisma. Każdy pracownik ma do wyboru normalną pensję, ale niską pensję wraz z premią. Jednak by uzyskać premię trzeba napisać odpowiednią prośbę, a następnie zebrać podpisy odpowiednich osób. Robią oni jednak często dużo problemów, więc wybrałam otrzymywanie tylko i wyłącznie normalnej pensji. Z nadejściem nowego miesiąca jednak nie otrzymałyśmy żadnego dodatku, więc wybrałam się do Działu Rachunkowości. Tam pani poinformowała mnie, że bez pisemnej woli Dyrektora nie może nic zdziałać. Poszłam więc do niego, a ten poprosił sekretarkę o napisanie prośby. Podpisał ją i razem zanieśliśmy to do pani odpowiedzialnej za wypłaty. Tym oto sposobem wraz z siostrą otrzymałyśmy dodatkowe 160 rubli miesięcznie dla każdej z nas. W mieście istnieją dwie poczty. Jedna dla Rosjan, a druga dla pozostałych mieszkańców. Jest tak dlatego, że listy do nas są obarczone cenzurą. Kiedyś z Franią odkładałyśmy pieniądze i wysyłałyśmy je do rodziców. Szybko jednak okazało się, że nie docierały do nich żadne fundusze, tylko ginęły gdzieś po drodze. Zaprzeształyśmy więc wysyłania pieniędzy. Wiesz co Tadeu? Kiedyś pragnęłam, żeby wojna się skończyła. Teraz gdy już jej nie ma, przekonuję się dopiero, że tamta sytuacja była o tyle lepsza, że widzieliśmy namacalnego wroga. Teraz jednak tym wrogiem jest system. Czy może być coś gorszego niż świadomość nieuniknionej przegranej?

17 grudnia 1956

Do Polski można było wrócić jeśli, Sowieci mieli dowód na polskie pochodzenie. Takim dowodem mógł być np. list. Wysłałam więc takowy do brata mojej mamy, który mieszkał w Pabianicach z prośbą o przygotowanie zaproszenia dla naszej rodziny do Polski. W Łodzi i okolicach panowały ciężkie warunki, trudno było znaleźć pracę i mieszkanie. Z pomocą ruszył więc stryjek mieszkający na zachodzie. Skontaktował się z bratem mamy i zapowiedział, że to do niego mogłybyśmy przyjechać. Okazało się jednak, że do Polski wróciłam wtedy sama. Tak oto 15 grudnia przyjechałam do Starej Kamienicy w pobliżu Jeleniej Góry. Mieszkam tu ze stryjem i jego rodziną, i pomagam im w gospodarstwie. I na tym Tadeuszu chciałabym zakończyć tę historię. Dziękuję Ci za to, że byłeś ze mną w najcięższych chwilach. Na obczyźnie byłeś moim jedynym przyjacielem. Być może jeszcze kiedyś będę chciała zwierzyć ci się z mojego nowego życia. Być może znajdę kiedyś męża i urodzę dzieci. Do tego czasu jednak zawinę cię w pergamin, zapakuję w pudełko i wyniosę na strych, tak aby nikt cię nie znalazł. Kocham cię przyjacielu. Żegnaj!

Rozpoczęłam 25 czerwca 1939, zakończyłam 17 grudnia 1956

Losy mojej rodziny

Wszystko zaczęło się 1 września 1939 roku gdy wojska niemieckie wkroczyły na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej, rozpoczynając tym samym II wojnę światową. 17 września 1939 roku przedstawiono notę rządu ZSSR, podpisaną przez Wiaczesława Mołotowa, o wkroczeniu armii radzieckiej na terytorium Polski.

Druga wojna światowa, oprócz wielu dramatycznych zdarzeń, przyniosła masowe zsyłki mieszkańców Europy. Znaczną część tych ludzi byli Polacy, głównie z kresów wschodnich. Ludzie byli zsyłani na Sybir lub do Kazachstanu. Przeważnie jako miejsce zesłania władze wybierały obszary słabo zasiedlone i o małym stopniu rozwoju cywilizacyjnego.

Wybór osób, które musiały opuścić swoje miejsce zamieszkania nie był przypadkowy. Deportacje poprzedził spis osób kwalifikujących się do wywózki. Byli to między innymi przywódcy organizacji anty sowieckich, naczelnicy i pracownicy niezależnych czasopism, urzędnicy państwowi, policjanci, oficerowie i podoficerowie Wojska Polskiego, prokuratorzy i sędziowie, rodziny i krewni osób zbiegłych lub usiłujących zbiec za granicę, pracownicy PCK, członkowie stowarzyszeń religijnych i właściciele przedsiębiorstw oraz hoteli.

Przy wysiedlaniu osadników cały ich majątek nieruchomy np. sprzęt rolniczy zostawał na miejscu i był przejmowany przez miejscowe władze. Jedyne co można było im wziąć to odzież, bielizna, obuwie, pościel, naczynia stołowe i kuchenne, trochę żywności, drobne narzędzia gospodarcze np. młotek; pieniądze, drobne kosztowności np. pierścionki oraz kufer lub skrzynię, żeby to wszystko zapakować. Mogło to mieć wagę maksymalną 500 kg na rodzinę.

Janina Kaczmarczyk z domu Szczęśniak urodziła się 1 kwietnia 1929 roku w Młynowie. Do momentu wywózki mieszkała z rodzicami Julią i Władysławem Szczęśniakami oraz rodzeństwem we wsi Stomorgi powiat Dubno woj. Wołyńskie. Rano 10 lutego 1940 roku przyszedł oficer, kazał się spakować i opuścić dom. Matka nie wiedziała co ze sobą zabrać, wzięła kilka pamiątek rodzinnych i zdjęć, trochę ubrań i jedzenia. Kiedy rodzina wychodziła, już wprowadzał się nowy właściciel – Ukrainiec. Do Rosji wywieziono pięciu członków rodziny Szczęśniaków: ojca, matkę oraz dzieci: Janinę, Józefa i Marcelinę. Powodem wywózki rodziny na Syberię, był fakt, że ojciec był piłsudczykiem odznaczonym za męstwo Krzyżem Virtuti Militari.

Najpierw wieziono ich saniami 43 kilometry do miejscowości Zdobłunów, było bardzo zimno, ale na szczęście wszyscy mieli ciepłe ubrania i nikt nie zamarzał. Później jechali wagonami bydłecy, przez około 2 tygodnie, dzień i noc, w głąb Rosji. Wagony były przepełnione i wyposażone jedynie w drewniane prycze oraz piecyki do ogrzewania. Z wydłużającym się czasem przebywania w wagonie, powietrze było coraz gorsze. Nikt się nie mył, nie było jak, ani czym. Korytka klozetowe tak nasiąkało moczem i kałem, że miało się wrażenie ciągłego przybywania w ubikacji. Brakowało również wody, wtedy zdrapywano szron ze ścian. W czasie jazdy pościel i ubrania przymarzały do ścian. Matka pilnowała dzieci, żeby nie zamarły. Wszyscy z nich przeżyli ale inne dzieci, szczególnie te najmłodsze, nie miały tyle szczęścia i pozamarzały. Żołnierze sowieccy podczas postojów zabierali je matkom, ale zdarzało się też tak, że dzieci były wyrzucane podczas jazdy. Kiedy kazano im wysiadać to nie był jeszcze koniec drogi, dalej wieziono ich ciężarówką, a później kazano iść pieszo.

Pierwszym miejscem pobytu rodziny na Syberii była Archangielska obłast Krasnoborski rejon. Miejscowi ludzie nie przyjęli ich i innych przybyłych zesłańców jak ludzi, tylko jak jakieś dzikie zwierzęta.

Drugim miejscem zamieszkania był Czujski rejon, kołchoz Nowaja Put w Kazachstanie.

W Rosji zimy były tragedią ze względu na ujemną temperaturę. Do momentu przeniesienia do Kazachstanu zimą 1942 roku, Janina pracowała w piekarni, gdzie dostawała placki z ciasta, które wylało się z formy na chleb. Matka pracowała w cegielni przy wypalaniu cegieł, a ojciec był zatrudniony przy wyrębie lasu. Nie otrzymywali pieniędzy, dostawali jedynie jedzenie, ale też nie zawsze. Józef i Marcelina często też przechodzili anginę. Lekarza nie było w pobliżu, a felczer był kilka kilometrów dalej. Nie było jednak sensu do niego chodzić, bo nie miał leków.

W Kazachstanie Janina wraz z matką pracowała w kołchozie Nowaja Put przy młynkowaniu zboża, plewieniu, nasadzaniu i zbiorze roślin okopowych. Często także prowadziła do miasta Czu karawany wielbłądów objuczone workami ze zbożem. Zawsze pilnowali ich Kazachowie lub Turkowie, aby nic nie wynieśli. Niektórzy z pilnujących za dużo sobie pozwalali, a przekonał się o tym jeden z Turków, który chciał zgwałcić Janinę, ale został potraktowany cepem.

Warunki życia w Kazachstanie były bardzo ciężkie. Za pracę nie dostawali ani pieniędzy, ani żywności. Tam urodziło się najmłodsze dziecko, Zofia, a w 1943 roku zmarł ojciec.

Mieszkali tam w lepiankach zbudowanych z gliny i desek pokrytych strzechą z trzciny. Mieli jedną izbę o powierzchni ok. 15 metrów, w której gnieździły się trzy rodziny – łącznie 9 osób. Robiło tam się wszystko, gotowało się, jadło i spało, panował tam także straszny zaduch. Nie było tu żadnych warunków do zachowania higieny, ludzie nie posiadali ani mydła, ani proszku do prania. Nie mieli również możliwości zwalczania insektów, w powietrzu rozbrzmiewał jeden nieustanny bzyk. Komary i inne insekty ze względu na ciepły i łagodny klimat jaki panował w Kazachstanie mogły się rozmnażać

praktycznie cały czas. Wiosną pojawiała się pokrzywa i dziki szczaw, które poprawiały trochę warunki bytowe. Jak wracało się z pracy można było tego trochę nazbierać i ugotować zupę. Jeśli się trochę posoliło, to był to prawdziwy luksus. Wreszcie można było zjeść coś gorącego i nie była to sama woda. Latem pojawiały się borówki, które były głównym źródłem witamin. Inną formą witamin były lilie. Kopało się taki gatunek lilii, których cebule nadawały się do jedzenia. Rosła tam też czeremcha, z której jagód robiono placki. Można je było jeść małymi kęsami lecz w niedużych ilościach, bo była trująca. Łapali oni także żółwie, z których później gotowało się zupę.

W 1945 roku skończyła się wojna, powrót do kraju był tylko kwestią czasu. Wiosną 1946 roku przywieziono do Polski całą rodzinę, matkę Julię z dziećmi: Janiną, Józefem, Marceliną i Zofią. Znaleźli się w Jeleniej Górze w punkcie Państwowego Urzędu Repatriacyjnego mieszczącym się w obecnym Zespole Szkół Mechanicznych. Stamtąd wszystkich przybyłych rozwieziono po wioskach. Matka z czwórką dzieci zamieszkała we wsi Sosnówka. Mogli od tego czasu prowadzić spokojne i normalne życie.

ALICJA MARCZENKO

Zespół Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Jeleniej Górze

Wysiedlenia, deportacje, łagry, wypędzenia

Historia mojego dziadka Mikołaja Marczenko, który wraz z całą rodziną został zesłany na Syberię. Opowieść tą spisuję tak, jak została przez niego opowiedziana.

Mój ojciec, a twój pradziadek urodził się w 1891 r. w Kijowie. W czasie wojny polsko-bolszewickiej był ułanem w rosyjskim wojsku. Jako młody żołnierz zapoznał się z moją matką i po uzyskaniu zezwolenia od swojego dowódcy, ożenił się z nią. Polacy w tym czasie wyparli wojska rosyjskie i ustanowili granice Polski, które były niezmiennie, aż do II wojny światowej. Gdy wojska rosyjskie wycofywały się w głąb Rosji, mój ojciec nie poszedł z nimi. Rodzice zamieszkali w nowopowstającej II Rzeczypospolitej w Stolinie (obecnie miasto na Polesiu na Białorusi, 15 km od granicy z Ukrainą). Ojciec przez resztę życia był gajowym, później podleśniczym. Dodatkowo trudnił się handlem końmi, ponieważ był samoukiem weterynarii. Często bywało tak, że kupował chore i wychudzone konie, leczył je i sprzedawał, by mieć za co wyżywić rodzinę. A rodzinę miałem liczną. Byłem ja i sześcioro rodzeństwa.

Po wybuchu II wojny światowej, przyszli do domu Rosjanie i twierdzili, że są tutaj z polecenia naszego polskiego rządu, w co nikt oczywiście nie uwierzył. Zaczęli robić czystkę. Na przesłuchania zabierali wszystkich nauczycieli, dyrektorów i innych ważnych i mądrych ludzi, a po dwóch miesiącach zabrali także mojego ojca. Po kilku dniach wypuścili go i kazali mu nadal być gajowym. Minął miesiąc, może dwa, aż 10 lutego 1940 roku w nocy przyjechała furmanka, czyli sanie zaprzężnięte w kilka koni. Akurat wtedy jak na złość była najostrzejsza zima, a my nawet nie mieliśmy dobrych butów. Chodziliśmy w letnich, bo nie stać nas było na cieplejsze. Najbliższa stacja od naszego domu była oddalona o 7-10 km. Chcieli nas zabrać z domu, ale my nie byliśmy na to przygotowani. Moja mama i rodzeństwo bardzo płakali i przeżywali to mocno. Ja chodziłem wtedy do szkoły i tata dostał kiedyś taką szkolną torbę, którą mi podarował i do tej torby pobierałem swoje książki, nałożyłem byle jakie buty i czekałem. Dwóch żołnierzy rosyjskich pilnowało nas w domu, a trzeci był przy saniach.

Wracając do mojego ojca. Po tym jak kazali mu być gajowym, przed całym tym zdarzeniem, zabrali go do więzienia w Stolinie na stałe. My myśleliśmy, że go wypuszczą i pojedzie z nami, ale niestety tak się nie stało. Więzienie to było na następnej ulicy obok naszego domu, więc matka płakała i prosiła tych żołnierzy, żeby ją zaprowadzili do ojca. Mówiła, że chciała się poradzić go co ma robić, co zabrać, chociaż nie pozwalano

nam zabierać nic oprócz suchego chleba. Niestety chleba nie mieliśmy, bo to była noc z piątku na sobotę i zrobiony był dopiero rozczyn, z którego w sobotę rano matka miała upiec chleb dla nas na cały tydzień. Mój starszy brat chciał pójść do stajni popatrzeć ostatni raz na konia i krowy, ale nie chcieli go wypuścić z domu, bo bali się, że ucieknie. Wtedy powiedział, że chce do ubikacji, a nie mieliśmy łazienki w domu, tylko wychodek na zewnątrz. Niestety wtedy też nie udało mu się uciec, bo cały czas pilnował go wartownik. W tym czasie w domu matka płakała, że nie mamy w co się ubrać, a mroz taki był na zewnątrz, że aż trzeszczało w oknach. Żołnierze zobaczyli, że rzeczywiście byliśmy prawie nadzy, bo mój ojciec nie pracował, tylko dostawał taki zasiłek dla bezrobotnych, z którego musiał utrzymać całą rodzinę i posyłać nas do szkoły. Nie było mu łatwo znaleźć sobie jakąś dorywczą pracę, bo na początku nie znał dobrze języka polskiego. Matka płakała, że jak się z nim zobaczy i on powie, że ma się zbierać to ona to zrobi, ale i tak na to się nie zgodzili. W międzyczasie jeden z żołnierzy pojechał do miasta i kupił nam nowe buty, a potem pomagali nam je nałożyć, żeby szybciej nas zabrać. W końcu jeden z nich posłuchał matki i zaprowadził ją do więzienia. Zamknęli ją tam w celi i kazali czekać, aż przyprowadzą do niej ojca. Żołnierze tymczasem na siłę nas ubierali i wynosili do tych sań. To był tylko podstęp, żeby matka ich nie powstrzymała przed zabraniem nas i wcale nie chcieli, żeby zobaczyła się z ojcem. W końcu zaczęła krzyczeć, bo nie wiedziała co się z nami dzieło, więc wypuścili ją i ona przybiegła do nas, a za nią ten żołnierz. Niestety, my już byliśmy na saniach, więc i ona do nas dołączyła. Sąsiedzi zaczęli nam przynosić swój chleb, żebyśmy mieli co jeść. Z domu pozwolili nam zabrać jedynie garnek, trochę warzyw, małą poduszkę, kocyk. Nawet pierzyny nie pozwolili nam zabrać, bo mówili, że tam jest dla nas wszystko nowe przygotowane. Mówili, że niedaleko jedziemy i że to tylko następne województwo. Wywieźli nas do stacji kolejowej Horyń, nad rzeką Horyń. Wsadzili do wagonu, a że to był pociąg towarowy, to musieli nas zamknąć drutem, żeby nikt nie uciekł. Trzymali nas tak przez cały dzień i następną noc, bo przez ten czas zwozili innych ludzi. To była pierwsza tura wywózki i najpierw zabierali rodziny gajowych, leśniczych, policjantów, nauczycieli i dyrektorów. W drugiej turze zwozili kułaków, czyli wszystkich bogaczy. Byliśmy tak zamknięci bez wody, bo mało jej wzięliśmy. Mówili nam, że niepotrzebna nam jest, bo tam jest wszystko. Dopiero, gdy wszystkich przywieźli i pozamykali w tych wagonach, wreszcie ruszyliśmy, a transport ten był wielki, bo słychać było jak wszędzie skrzypiało i stękało, gdy lokomotywa ruszyła.

Jechaliśmy około 3 tygodnie, nikt czasu nie liczył, bo nie było jak. Widzieliśmy tylko czy jest noc czy dzień przez szpary w wagonie. Więcej staliśmy na bocznicach, niż jechaliśmy, bo wartownicy pilnowali i przepuszczali przodem inne pociągi, a nas puszczali na koniec. W naszym wagonie było przeszło 40 ludzi, mały otwór w podłodze, który służył za toaletę i mały piecyk w kącie, a obok piecyka kilka drewniaków. Dorośli zajmowali się paleniem w tym piecu. Niestety nikt nie przynosił nam ani wody, ani chleba. Dojechaliśmy do ostatniej w tym kierunku stacji kolejowej Plesieck, dalej były tylko drogi, rzeki i jeziora, a że to była zima, więc wszystko było zamrożone. Wszystkie bagaże były wiezione osobno, a my mieliśmy przy sobie tylko to, co zabraliśmy ze sobą

do wagonu. Wszystkich nas ładowali na samochody. Te samochody miały na pace, po dwóch stronach, piece na drewno i w tych piecach palili, i od tego ciepła działał silnik. Auta zasłonięte były plandeką. Nas tam wsadzili i było bardzo ciemno, tak że nie wiedzieliśmy dokąd jedziemy. Pamiętam, że strasznie śmierdziało tam jakimś smarem i matka zaczęła wymiotować. Wieźli nas tak cały dzień i noc, aż w końcu się zatrzymaliśmy. Wysiedliśmy z tych samochodów i była tam tylko budka, wkoło lasy i wielkie jezioro. Była to wioska Zaozerie w Obwodzie Archangielskim. Stał tam ciągnik na gąsienicach takich, jakie mają czołgi i przyczepione do niego prymitywne sanie długie, szerokie, zbite z pali podobnych do słupów telefonicznych. Załadowali na te sanie nasze bagaże, bo dalej nie było już drogi dla samochodów. Nas dali na mniejsze sanie konne.

Wieźli nas przez środek jeziora od rana aż późnym wieczorem dojechalismy do przygotowanych drewnianych, piętrowych baraków. W niektórych mieszkali już Ukraińcy z połtawskiej guberni. Ich przywieźli tam kilka lat wcześniej i zdążyli już się przyzwyczaić do takiego życia. Zajmowali się łowieniem ryb i nawet pobudowali sobie chatki blisko jeziora, a gdy odjeżdżaliśmy płakali, że nas zabierają, a oni tam zginą, ale o tym później... W barakach było już napalone specjalnie dla nas. W każdym z nich były wydzielone pokoiki dla każdej rodziny, a w nich piecyk, łóżko i prymitywny stół z nogami zbitymi na krzyż. Pokoje te miały około 9 m kw. W naszym pokoju mieszkała matka i nas sześcioro, ojca nie było. Jak wyjeżdżaliśmy Rosjanie mówili nam, żebyśmy nic nie brali, bo tam miało być dla nas wszystko przygotowane, a tam nie było nic więcej. Nie wiedzieliśmy czy płakać, bo to nic by nie zmieniło. Mniejsze dzieci tuliły się do matek, bo bały się. Wkoło były same lasy, a przy -40 stopniach lub nawet -50 , lasy trzeszczały, że wydawało się jakby to karabiny gdzieś strzelały. Tam jak przez okno ktoś wylał garnuszek wody, to na ziemię spadał lód. Podłogi nie było, była za to taka glina deptana. Między pokojami w ścianach zrobione były małe okienka 20×20 cm, przez które mieliśmy rozmawiać z sąsiadem. Wiezorami mieliśmy zebrania w świetlicy, na które musieliśmy obowiązkowo iść, bo na nich mówili nam, że nie zobaczymy Polski tak, jak nie widzimy prawego ucha. Mówili też, że tutaj będziemy żyli i pracowali. Wydzielili dla nas 500 g chleba na 24 godziny dla pracującego, który wyrabia normę, 200 g dla niepełnoletnich, ale co drugi dzień tego chleba nie dawali, bo musieli go przywozić z Archangielska. A najgorsze było to, że naszego bagażu nie przywieźli. Nam powiedzieli, że pod saniami załamał się lód na jeziorze i wszystko zatoneło. Zostaliśmy w tym, co mieliśmy na sobie, a i to się nie nadawało na tamte warunki. Tam dla pracujących dawali uszanke, kufajkę, watowane spodnie, walonki (ciepłe buty do kolan, nieprzepuszczające wody) i woreczek na nos zawiązywany z tyłu głowy. A pracowało się obowiązkowo od 16 roku życia. Gdy nie udało im się dostarczyć chleba, dawali nam zupę, za którą potracali pracującym rodzicom z pensji, bo to była płatna zupa. Tego nawet nie można nazwać zupą, bo była to ryba z wszystkimi wnętrznościami ugotowana w wodzie. Jeśli w jakiejś rodzinie było np. siedem osób, to dostawali oni 5 porcji, bo nie starczało im tej zupy dla wszystkich. Matka jak dostała zupę to nawet nie rozlewała do misek, a my zamiast się dzielić, kłóciliśmy się o to, kto ile łyżek zje. Jak dostawaliśmy chleb, to mama rozdzielala nam po kawałeczku, a my płakaliśmy, że chcemy więcej. Ona też płakała, bo wszyscy byliśmy

głodni, a nie mogliśmy zjeść więcej, bo nie wiadomo było kiedy dostaniemy następny chleb. Raz nie wytrzymała naszego płaczu i oddała nam resztę chleba, a na drugi dzień nie dostaliśmy nic do jedzenia, ale milczeliśmy, żeby nie miała wyrzutów sumienia, że nam uległa.

Rosjanie mówili nam jeszcze, żebyśmy nie chorowali przez 3 miesiące i nie opuścili żadnej godziny pracy w lesie, to wtedy taka osoba będzie mogła zostać stachanowcem (przodownikiem pracy) i zostanie w nagrodę trochę więcej pieniędzy i chleba. Mój najstarszy brat bardzo chciał nim zostać. Pracował już prawie 3 miesiące, 3 dni mu zostało do końca i nie mógł wstać z łóżka, bo był osłabiony. Nie poszedł do lasu, a później brat go zaprowadził do lekarza. A tam lekarz dawał zwolnienie tylko jak ktoś miał gorączkę, a jakby nawet umierał, a nie miałby gorączki, to nie dawał. Mój brat niestety nie miał gorączki. Tamten lekarz nie był prawdziwym lekarzem, on tylko miał sprawdzać czy ktoś ma gorączkę. Moja mama rozchorowała się, starsza siostra i najstarszy brat też, ale musieli pracować. W domu zostawałem tylko ja, młodsza siostra i najmłodszy brat.

Obok tych baraków otworzyli szkołę i kazali nam do niej chodzić. Młodsze rodzeństwo było za małe, więc z naszej rodziny chodziłem tylko ja. Polaków było kilkoro, reszta to sami Ukraińcy. Ja byłem trochę mądrzejszy i od razu poszedłem do 3 klasy. Język był podobny, więc nie było przeszkód. Nauczyłem się go w domu, bo to było na Białorusi i tam całą rodziną chodziliśmy do kościoła, a wtedy mieszkali tam też Polacy, Białorusini, Ukraińcy i Niemcy, i za każdym trzeba było się jakoś dogadać. Ja chodziłem do tej szkoły i chciałem sobie jakoś zarobić na zeszyt i ołówkę. W szkole była taka komórka, w której naprawiali sieci rybackie i ja tam się nająłem do pomocy. Nawet jak były wakacje, to ja tam całe wakacje chodziłem i pomagałem. Tam na cały rok dawali jeden lub dwa zeszyty i musiało jakoś wystarczyć. Pewnego dnia przyszedłem do szkoły bez zadania domowego, bo skończył mi się zeszyt. Moja nauczycielka Antonina Panasiewna-Orłowa całą lekcję opowiadała nam o Leninie, Stalinie i Rosji, a my opowiadaliśmy jej o warzywach i owocach, które u nas rosną tj. pomidorach i ogórkach, bo ona знаła je tylko z książek. Ale wracając do tego zadania domowego, doszła kolej do mnie i ja mówię jej, że nie mam, bo nie miałem miejsca w zeszyście, żeby napisać. Ona zaczęła krzyczeć, że mogłem sobie na czole napisać. We mnie złość się zebrała i powiedziałem, że u nas w Polsce w wychodku jest więcej papieru, niż u nich w szkole. Ona mnie złapała za rękę i próbowała zaciągnąć do dyrektora, ale ja się złapałem ławki i ona puściła mnie, i pobiegła po niego sama. Jak przyszli do klasy, to on zawołał mnie do siebie i ja poszedłem z nim. Pytał się mnie dlaczego nie zrobiłem tego zadania i wytłumaczyłem mu, że skończył mi się zeszyt i opowiedziałem co się zdarzyło na lekcji. Po chwili przyszedł miejscowy policjant, zabrał mnie na komendę i zamknął w piwnicy. Inni policjanci poszli po moją matkę, a ona nie wiedziała, że ja jestem w tej piwnicy. Słyszałem jak komendant się pytał matki jak wychowała mnie, żebym powiedział coś takiego w szkole, a przecież matka nie wiedziała o niczym. Pytała co się stało, ale nie chcieli jej powiedzieć. Później się domysliłem, że najgorzej było, że te dzieci miejscowe słyszały, że powiedziałem, iż w Polsce jest lepiej, niż w Rosji. Komendant stwierdził, że to na pewno matka mnie tego nauczyła i powiedział, że jeśli to jeszcze raz się powtórzy, to nigdy nie

zobaczymy ojca i ona już więcej nie zobaczy swoich dzieci. Mnie trzymali zamkniętego do wieczora. Jak mnie wypuścili, to nawet nie poszedłem do szkoły po swoją torbę, tylko od razu do domu, a w domu matka mi sprawiła lanie i kazała mi być pokornym następnym razem i nie wspominać nic o Polsce. Tam było tak, że jak pytali się czy jesteś głodny, to nie wolno było się przyznać, bo zaraz chcieli wiedzieć jak się nazywasz i ukarać rodziców za to. Na następny dzień poszedłem do szkoły bez zeszytu. Zaczęła się lekcja, przyszła nauczycielka z dyrektorem i on zabrał mnie do swojej kancelarii. Patrząc, a na jego biurku leżą 4 zeszyty, książka o pionierach ruskich (harcerzach), piórniki, ołówek i czerwona chustka dla pioniera. Dał mi to wszystko i kazał się dalej uczyć.

Antonina mieszkała w małym pokoiku z tyłu szkoły, a obok jej okna była górka, z której lubiłem zjeżdżać. Nigdy jej nie widziałem, ale od tamtej sprawy siedziała w oknie i przyglądała mi się. Pewnego dnia zaczęła moją siostrę i pochwaliła mnie. Latem po szkole łowiłem ryby. Zrobiłem wędkę z patyka i sznurka, a haczyk dostałem, więc jakoś mi się udało. Żyłki nie było, ale jak już przysłali w paczce, to za ostatnie pieniądze ją kupiłem. Raz udało mi się złowić dużego szczupaka, to matka go zabrała i wymieniła u ruskich na pół bochenka chleba. I od tamtej pory matka miała miejsce u takich kobiet i im sprzedawała wszystkie ryby, które złowiłem. Moja matka była dzielną kobietą, bo codziennie ubierała się ciepło i szła do lasu pracować na chleb dla nas razem ze starszym rodzeństwem, a i tak brakowało nam go, bo 4 osoby nie pracowały. Jednego dnia znowu mnie zamknęli w piwnicy. Znalazłem takie rurki, pociąłem je na kawałki, a wieczorami z drzewa wykrajałem nożem pistolet. Wszystko się trzymało razem przez gumki. Do środka wkładałem kamyczki, albo groch i jak się naciągnęło tą gumkę, to można było nawet szybko wybić. Koledzy ze szkoły pozamawiali u mnie te pistolety i wieczorem siedziałem w domu i je robiłem, gdy nagle wpadła policja. Komendant złapał mnie i pyta się, gdzie reszta pistoletów, a ja mu powiedziałem, że wymieniłem w szkole na ołówki i pióra. Zaciągnął mnie do piwnicy i zawołał matkę. Oni strasznie się bali, żebym nie wymyślił broni i nie zrobił powstania jakiegoś, bo tych policjantów było tam trzech, a ludzi zesłanych pełno. Pytali się matki czemu mi pozwala to robić, a później kazali mi powiedzieć kto ma te pistolety i wszystkim pozabierali, aż uzbierało się ich pół worka. Ojciec broń miał w domu, więc od małego miałem z nią styczność i wiedziałem jak ją zrobić. W końcu przyszła amnestia, ale nie wszyscy mogli wyjechać. Moja matka ustaliła w kilkoma sąsiadami, że razem uciekniemy, chociaż byliśmy głodni i źle ubrani, ale chcieliśmy już wracać. Potrzeba nam było trochę pieniędzy, żeby wynająć łódkę, bo to było późne lato i te jeziora były roztopione. Kupiliśmy łódkę na 4 rodziny i wyruszyliśmy w stronę Plesiecka. To było mniej więcej w 1942 r. Ta amnestia była ogłoszona przez Sikorskiego wcześniej, ale on powołał ambasadorów, którzy docierali na Syberię i tam rozgłaszali to. Przecież Rosjanie sami nie ogłosiliby tego, bo mieli darmowych pracowników. Moi starsi bracia siedzieli na sterze i wiosłowali. Płynęliśmy rzeką, aż dotarliśmy do wielkiego jeziora, gdzie nawet nie było widać brzegów i staraliśmy się je przeszyć, żeby trafić do następnej rzeki i tak dalej. Zaczęło się ściemniać, mróz ścisnął i jezioro zaczęło zamarzać. Jeden brat siedział na czole łódki i wiosłem tłukł lód. My wszyscy w łódce byliśmy wtuleni w siebie, bo taki mróz był. W końcu nie dało się już

płynąć dalej i wyszliśmy z tej łódki. Stanęliśmy na lodzie i zaczęliśmy krzyczeć z całych sił. Nikt nas nie słyszał. Wszyscy zaczęli żałować, że wyruszyliśmy i płakać. Nareszcie ktoś patrzy a tam daleko, daleko mały ogień. Szliśmy długo w tamtą stronę, aż światło zginęło. Stanęliśmy i nie wiedzieliśmy, w którą stronę dalej iść. I po chwili znów się pokazało. Okazało się, że był to brzeg, a na nim chatka rybacka. Przy oknie stała butelka, w niej nafta i sznurek i to się tak paliło. Szliśmy powoli, bo bardzo ślisko było na tym lodzie i już nie mieliśmy siły iść. Tam były same małe dzieci i dorośli z tobołkami na plecach. Jedynie moje starsze rodzeństwo dawało jakoś radę. Starsza siostra i brat powiedzieli, żebyśmy odpoczęli, a oni w tym czasie pójdą prosto w stronę tego światła i jeśli coś tam będzie, to przynajmniej wodę nam zagotują. Minęła godzina, a my dalej szliśmy i powoli zbliżaliśmy się do tego światła. W tym czasie rodzeństwo już tam dotarło, nagotowali wodę i na dodatek jeszcze wyszli nam na spotkanie. Do dziś pamiętam tą lampkę na parapecie. Wkoło chatki były okna, a przy nich na ścianach gruba warstwa karaluchów. Przypomniało mi się, że jak tam nam dawali zupę, to w niej też pływały karaluchy, ale nikt nie patrzył na to, tylko jadł, bo jakby wybierał, to drugi by zjadł jego porcję. Starsza pani i pan nie mieli czym zwalczać tych karaluchów, więc tego nie robili, tylko przyzwyczaili się już do nich. Ogrzaliśmy się trochę od gorącej wody i akurat widno się zrobiło. Pokazali nam drogę na stację i szliśmy tak ponad pół dnia. Dotarliśmy do przystani, ale tam był tylko dach i drzwi, taka chatka bez okien i nawet piecyka nie było, więc nie byliśmy tam długo i poszliśmy połą dróżką w stronę Plesiecka. Była noc, wszyscy byliśmy zmęczeni, nie mieliśmy siły, bo nie było co jeść, ale jakoś szliśmy. Szliśmy bardzo długo i zobaczyliśmy ciągnik z drzewem. Starsza siostra i brat wsiedli na niego i pojechali na tą stację, żeby znowu nam zagotować wodę i czekać na nas. Jechał następny ciągnik i ciągnął za sobą drzewo. Nie wolno było na nie siadać, ale jak go poprosiliśmy to nam pozwolił. Kilka osób zabrał i podwiózł kawałek. Ja przyjechałem na tym drzewie, niektórzy samochodami, a jeszcze inni nawet końmi. Spotkaliśmy się wszyscy w jakiejś gminie i tam napiliśmy się wrzątku i poszliśmy dalej. Minęły jeszcze 3 dni i na 4 dzień trafiliśmy do jakiegoś domu, gdzie wyciskali olej i wyrzucali makuchy. My nabraliśmy tych makuch do toreb i tym się pożywialiśmy. Moja rodzina na raty dotarła do stacji Plesieck. Wszędzie na podłodze siedziało dużo ludzi, a wszyscy biedni tak, jak my. Nikt nie miał pieniędzy, żeby kupić wagon, a tym bardziej coś do jedzenia. Chodzili do naczelnika, żeby dał nam wagon, ale on nie chciał go dać za darmo. A my byliśmy gotowi nawet głodni pojechać, byleby tylko jechać już do Polski. Mężczyźni z innych rodzin się zmówili i nie chcieli nas zabrać do wagonu, bo u nas nie było ojca, a jak moi bracia w łódce wiosłowali, to im to nie przeszkadzało. Matka wpadła w rozpacz i poszła się żalić do naczelnika. Ten powiedział, że zadzwoni do pobliskiego kołchozu oddalonego od stacji Plesieck o 10 km i wezmą nas tam, żebyśmy popracowali 2 miesiące, zarobili trochę pieniędzy i wtedy on nam wynajmie ten wagon. Każdy kołchoz wziął po jednej rodzinie i zarobiliśmy na wagon i parę bochenków chleba. No i naczelnik się pytał gdzie chcemy jechać, więc mężczyźni wybrali miasto Astrachan, bo tam było ciepło. Nikt nie myślał, że dotrzemy do domu, więc chcieliśmy uciec od tego zimna, bo w ciepłym łatwiej przeżyć. Było nas 40 osób, a chleba mieliśmy na dzień lub

góra dwa dni. Zrobiło się 9 wagonów samych Polaków i ten transport miał swój numer. Podstawili pociąg i nie powiedzieli nam kiedy będzie odjazd, więc musieliśmy siedzieć cały czas w wagonach. Tak samo było na stacjach, nieraz zatrzymywaliśmy się tylko na chwilę, ale czasami staliśmy pół dnia. Nie mogliśmy wtedy wysiadać, bo nie wiedzieliśmy kiedy pociąg odjedzie. Na jednej stacji mój starszy brat i kilka osób z innych rodzin powiedzieli, że pobiegną do stołówki i poproszą o kawałek chleba lub coś innego do jedzenia. Niestety wtedy pociąg odjechał i jak oni tam zostali, tak zostali do dziś dnia, bo nie dali rady nas dopędzić. Z całej rodziny została starsza siostra i brat, ja, młodszy brat i siostra oraz matka. Każda kolejna wioska oddalona była o pół dnia jazdy lub nawet cały dzień. I nie zatrzymywaliśmy się na wszystkich stacjach, tylko na mniejszych. Raz się zatrzymaliśmy i ja mówię do mamy, że niedaleko stacji jest wioska i pójdę, bo może akurat dadzą nam coś do jedzenia. Poszedłem, uźebrałem trochę i biegnę. Dobiegłem do stacji, patrzę, a tam nie ma pociągu. Matka się załamała, bo tamten brat był starszy i nie dopędził pociągu, więc ja młodszy tym bardziej nie dam rady. Pobiegłem do naczelnika stacji, ale on nie wiedział gdzie ten transport pojechał. Znałem numer, więc mu podałem, ale on i tak nic mi nie chciał powiedzieć. Dostałem kawałek gotowanego ziemniaka i trochę chleba. Zjadłem i akurat podjechał pociąg, który jechał w tym samym kierunku, ale to był pociąg towarowy. Przyjechał następny pociąg. Pobiegłem do nich i prosiłem, żeby mnie zabrali, żebym dopędził matkę. Zabrali mnie. Okazało się, że jechało tam wojsko i rodzina wojskowych. Widać było po nich, że byli bogaci. Wszędzie mieli pełno pakunków. Konduktor pozwolił mi jedynie stać w korytarzu. Zajrzałem na chwilę do nich i zobaczył mnie jakiś generał. Zaczął ze mnie szydzić, bo myślał, że jestem chuliganem. Mi się przykro zrobiło, aż się popłakałem i powiedziałem do niego, że mnie mama nie wychowała, żebym ja kradł i wolę poprosić o kawałek chleba. Opowiedziałem im, że jedziemy z Archangielska, ale nie wiemy dokąd dojedziemy. Kobiety się nade mną ulitowały i nazbierały mi trochę chleba, szynki i słoniny do woreczka. Dojechaliliśmy do większego miasta i trzeba mi było wysiadać, bo dalej jechali w inną stronę. Pobiegłem na stację i prosto do naczelnika spytać się czy nie stoi tu gdzieś mój transport. Niestety nie było nigdzie pociągu z Polakami. Raz jechał pociąg z drzewem długim na 3 wagony. Z tyłu niektóre drzewa były krótsze, więc zrobiły się luki i ja do jednej z nich wszedłem. Chciałem po prostu jechać na przód, żeby dogonić matkę. Jechałem z nadzieją, że mi się uda. Głodny nie byłem, bo ludzie dawali mi trochę jedzenia. Jechałem tak 2 dni i cały zdrętwiałem, aż nie mogłem stamtąd wyjść. Jakoś mi się udało i pozwoli doszedłem do stacji. Znowu poszedłem do naczelnika, tak jak na każdej stacji. Niektórzy pomagali mi, ale inni wołali po policjanta, a ten prowadził mnie do domu dziecka, bo byłem bez rodzica. Udało mi się uciec i wsiąść do następnego pociągu. Niestety na każdej stacji musiałem wysiadać i sprawdzać czy nie ma tam mojego transportu. Raz zobaczyłem biednego człowieka, który zbierał okruszki na stacji i dałem mu trochę chleba, cukru i słoniny. Popatrzył na mnie takim wzrokiem, że pewnie do tej pory tak na mnie patrzy z nieba. Obok kasy z biletami była budka, a w niej kobieta, która dzwoniła i przyjmowała te wszystkie pociągi. Opowiedziałem jej swoją historię i ona powiedziała do mnie, żebym odpoczął na podłodze, a ona się tym zajmie. Trzymałem

w rękach woreczek i zasnąłem ze zmęczenia, a jak się obudziłem woreczka już nie było. Ona dała mi trochę chleba i talon kolejowy, ale złapał mnie policjant. Znowu uciekłem przed domem dziecka i pobiegłem do następnego pociągu. Trafiłem na wojsko i ci też mnie zabrali. Dojechałem do stacji Syzrań i pobiegłem do naczelnika. Siedziała tam młoda kobieta, którą poprosiłem, żeby zadzwoniła do następnej i poprzedniej stacji czy jest transport o tym numerze. Okazało się, że ja go wyprzedziłem. Kobieta zabrała mnie do łaźni, oddała ubrania do pralni, nakarmiła mnie i kazała czekać, aż ten transport dojedzie. To już był 9 dzień odkąd wysiadłem z wagonu matki. Nie dałem rady czekać, więc dała mi chleba i kanapki w woreczek oraz bilet na pociąg powrotny. Dojechałem do małej stacyjki. Pociąg stanął, a ja wybiegłem do budki do dyżurnego i pytam się go, czy jest pociąg o moim numerze, a on na to, że jest i stoi na bocznicu. Okazało się, że był pusty, bo jak wyjeżdżaliśmy to było 9 wagonów, a potem rozczepili to na dwa pociągi o innych numerach. Jeden miał 3 wagony, a drugi 6 i oba jechały w innych kierunkach. W całym tym zamieszaniu pociąg zaczął odjeżdżać, a dyżurny krzychał żebym wsiadał, bo on nie wiedział gdzie chcę jechać. Dobiegłem i chwyciłem się ostatniego wagonu, ale nie dałem rady stanąć na stopniu. Konduktor mnie zauważył i wciągnął do środka. Zalałamałem się, bo ten pociąg się cofał, a ja powinienem jechać do przodu. Konduktor kazał zatrzymać pociąg na najbliższej stacji i tam wysiadłem. Nikogo nie było na tej stacji. Usiadłem w kącie i zasnąłem. Nagle przez sen usłyszałem, że ktoś mówi po polsku. Było to dwóch mężczyzn. Spytałem się ich co tutaj robią, a oni na to, że jadą, a ich pociąg stoi przy stacji. Nawet nie pomyślałem, że tam może być moja matka. Myślałem tylko, że jak pojadę z Polakami, to na pewno ją znajdę. Podbiegłem do tych 3 wagonów i usłyszałem płacz matki. Zacząłem bić w drzwi. Za nimi stał mój starszy brat, ale drzwi bardzo ciężko się otwierały. Jednak on je otwierał. Krzyknąłem, żeby mnie wpuścili. Szarpnął tymi drzwiami i wciągnął mnie za ręce. Matka przytuliła mnie mocno i mówiła, że tamci nie mogli dopędzić ich, a ja młodszy dałem radę. I pojechaliśmy dalej. Przez kilka lat mieszkaliśmy w Kirgistanie. Tam chodziłem przez 6 lat do szkoły. Po II wojnie światowej przyjechaliśmy na zachodnie tereny Polski i zamieszkaliśmy w Płoninie w woj. dolnośląskim.

MARTA MICHALSKA

Publiczne Gimnazjum w Jeżowie Sudeckim

Wspomnienia Kresowianki – mojej babci Antoniny Michalskiej

Lata 1940-1952. Czas, w którym mnóstwo Polaków zostało wywiezionych do rosyjskiego piekła – Sybiru, a wielu z nich straciło życie. Szczególnie nagłościonym przypadkiem był dramat na Kresach Wschodnich, należących do naszego kraju w czasie II Rzeczypospolitej, aż do drugiej wojny światowej, kiedy to tereny te zostały wcielone do Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. To właśnie w latach trzydziestych XX wieku, na fali polityki asymilacji nierosyjskich narodów w ZSRR, na wielu Polaków spadły brutalne represje i przymusowe deportacje w głąb Związku Radzieckiego. Szacuje się, że podczas nich zginęło ponad 111 tysięcy Polaków, prawie 29 tysięcy skazano na pobyt w obozach koncentracyjnych w strukturach GUŁAG-u, natomiast ponad 100 tysięcy deportowano do Kazachstanu i w inne wschodnie regiony Związku Sowieckiego. Właśnie taka była wojna, takimi sposobami zabijano w ludziach ducha polskości – terroryzując, organizując egzekucje, mordując mężczyzn, kobiety i dzieci, wysyłając polskie rodziny na tereny tajgi syberyjskiej.

Czym było zesłanie? Strachem, poniżeniem, chłodem i biedą, a przede wszystkim nieustannym brakiem pożywienia. Małe racje żywnościowe, mieszkanie w małych, ciasnych lepiankach, gdzie w jednym pomieszczeniu spało kilka rodzin. Dokładnie sześć lat i trzy miesiące z dala od ojczyzny, spędzone na obcej, nieprzyjemnej ziemi. Lata 1940-1946, czas prób, podczas którego każdy z zesłańców, musiał walczyć o przetrwanie. Taką definicję uznaje jedna z Kresowianek, pani Antonina Michalska, z domu Gwazdacz, obecnie mieszkanka Jeleniej Góry. Dzisiaj po tych okropnych zdarzeniach pozostaje tylko pamięć. Sybir wydaje się wyblakłym wspomnieniem, o którym ciągle nie da się zapomnieć, a wszystko zaczęło się pewnego czerwcowego dni...

Na Kresach w Tarnopolu mieszkała dziesięcioosobowa rodzina Gwazdaczów. Jeden ze starszych braci pani Antoniny, którego imię już dawno, zatarło się w pamięci, wyjechał na kilka miesięcy do Kalifornii, w poszukiwaniu lepszej pracy. Po kilku tygodniach słuch o nim zaginął. Gwazdaczowie już nigdy więcej nie otrzymali od niego żadnych wiadomości.

W roku zsyłki – 1940, pani Michalska była jeszcze małym dzieckiem, miała zaledwie cztery lata, jeszcze nie do końca rozumiała, dlaczego jej rodzina zostaje wywieziona. Ojciec, jak i zarówno dziadek, walczyli w I wojnie światowej z Niemcami i Rosjanami, jak większość Polaków pragnęli zapewnić sobie i swojej rodzinie bezpieczeństwo. Jed-

nak okazało się, że bolszewicy nie zapominają i nie mają zamiaru odpuścić zemsty na Polakach. Przyszedł czas na odwet na rodzinie Gwazdaczów. Zaczęło się o świcie 10 lutego 1940 roku, kiedy to do drzwi zapukali Sowieci. Dwóch żołnierzy kazało im się spakować, po czym wraz z wieloma innymi polskimi rodzinami, zostali przewiezieni na stację kolejową skąd mieli zostać przetransportowani na Sybir. Jakże proste w schemacie, a z drugiej strony jakże niesprawiedliwe, trudne do zrozumienia i zaakceptowania. Katarzyna Gwazdacz, matka rodziny, zdążyła spakować tylko najpotrzebniejsze rzeczy, trochę ubrań, trochę prowiantu, reszta majątku przepadła. Żołnierze nie dawali czasu na bardziej skrupulatne przygotowania i zaopatrzenie się w potrzebne przedmioty.

Nikt z rodziny nie stawiał oporu, ponieważ wtedy rozdzielono by jej członków, męża zesłano by na Syberię, zaś matka z dziećmi pozostałaby w Tarnopolu. Takie rozwiązanie zdawało się być lepsze dla dzieci, bo po co mają cierpieć wszyscy? Jednak było to tylko złudzenie. Katarzyna – matka, niejednokrotnie słyszała, a nawet widziała takie przypadki – samotne matki wraz z dziećmi były mordowane przez niezadowoloną ludność ukraińską, pragnącą za wszelką cenę uzyskać choćby namiastkę własnego państwa. Traktowali Kresowiaków jak intruzów. Ciała samotnych matek i dzieci porzucone, często zmasakrowane miały stanowić przestrozę, groźbę. W każdym narodzie znajdzie się zawsze grupa ludzi okrutnych i nieczułych. Z tego powodu opór przeciw Sowiетom wydawał się być równoznaczny z wyrokiem śmierci.

Gwazdaczowie, wraz z wieloma innymi Kresowiakami zostali zamknięci w pociągu, który miał ich przewieźć na Syberię. Rosjanie nie dbali o warunki sanitarne. Do transportu „niewygodnego balastu” służyły im przedziały, tzw. bydłce, pierwotnie przewoziło się nimi zwierzęta gospodarcze. W tych trudnych czasach II wojny światowej, służyły do transportu polskich żołnierzy walczących przeciwko bolszewikom i ich rodzin, zamieszkujących tereny Kresów Wschodnich. Podróż była długa i ciężka, nie do zniesienia przez małe dzieci, wiele z nich pomarło już na tym etapie. Podczas wyjazdu na Syberię zmarło na czerwonkę jedno z ośmiu dzieci państwa Gwazdaczów. Mała dziewczynka umarła w jednym z przedziałów, rodzice nie mogli jej pomóc. Była to pierwsza, ale niestety nie ostatnia śmierć w ich rodzinie. Życie na zesłaniu miało pozbawić życia jeszcze dwóch Gwazdaczów. Rosjanie nie litowali się nad losem Polaków, cóż dla nich znaczyła śmierć polskiego dziecka?

Po wielu dniach zesłańcy dotarli do celu swej podróży – tajgi syberyjskiej, miejsca, które od tej pory mieli traktować jak miejsce swojego zamieszkania. Antonina wraz z rodzicami i rodzeństwem, zamieszkała w ciasnej, małej lepiance, wraz z inną całkowicie obcą rodziną. Wyposażenie ich nowego „domu” było bardzo ubogie, kilka łóżek zbitych z desek i okrytych słomą, a jak prac i gotować? Prowizoryczne sprzęty, takie jak kuchenka, znajdowały się w drewnianych barakach, oddalonych od lepianek. W takich warunkach żyli ludzie, trudno było sobie nawzajem pomagać, bo każdy z zesłańców miał przy sobie niewiele pożywienia i ubrań, a jednak Kresowiaci chcieli żyć, pragnęli zapewnić sobie i swoim bliskim przynajmniej znośne warunki życia.

Państwo Gwazdaczowie musieli pracować przy wycinie drzew w tajdze syberyjskiej, w zamian za to otrzymywali pół bochenka chleba. Tylko tyle, aby wyżywić, już

ośmioosobową rodzinę. Wszystkie dzieci w tym czasie chodziły do „szkoły”, w której uczono się śpiewu i samych podstaw niektórych przedmiotów. Budynek, a właściwie pomieszczenie, miało pełnić przede wszystkim rolę prowizorycznej świetlicy i nikt za bardzo nie interesował się tam kształceniem i dbaniem o dzieci. Strop świetlicy podpie-rało kilka drewnianych belek, wokół których; mniejsze i większe dzieci biegały podczas zimy, aby chociaż trochę się rozgrzać. Starsze dzieci ciężko pracowały, ale złe warunki życia i przemęczenie, bardzo często prowadziły do ich szybkiej śmierci. Dni płynęły wolno, kolejne tygodnie przyniosły ze sobą nową tragedię, najmłodszy syn Katarzyny i Stanisława Gwazdaczków, umarł z niedożywienia. Na Syberii codziennie chociaż jeden człowiek oddawał swój żywot w ręce Stwórcy, przynajmniej przestawał on czuć głód i zimno, ale życie innych trwało dalej... Brak pożywienia uzupełniało się często zwykłymi korzonkami, w niektórych przypadkach nawet korą drzew. Wszystko, co nadawało się do jedzenia było zbierane przez Sybiraków. Co do ubrań, to przeważnie nosiło się każdy element garderoby przez wiele miesięcy, aż do całkowitego zniszczenia, w okolicy nie było żadnego sklepu nawet z żywnością, a co dopiero z ubraniami.

Kresowiakom dawał się we znaki brak opieki medycznej. Nie było leków, nie było lekarzy, brakowało wszystkiego. Jeżeli ktoś miał jakąkolwiek nadzieję, to po pomoc musiał iść wiele kilometrów, modląc się w duchu, aby w jednej z niewielu małych przychodni, mieszczących się na obszarze zsyłki, znajdował się potrzebny lek. Mała Antonina w 1941 roku zachorowała na malarię, jej matka szła przez wiele godzin w zamieci śnieżnej, aby dotrzeć do małej przychodni, w której otrzymała... trzy tabletki chininy. Trzy małe tabletki, żeby uratować swoją córkę przed śmiercią. Nie żeby oszczędzić jej cierpienia, bo z tak małą ilością lekarstwa nie mogła liczyć na to, że w pełni uśmierzy ból, swojego rzucającego się w gorączce dziecka, a jednak dziewczynka przeżyła.

Syberia zawsze kojarzy się z bardzo zimnymi obszarami, ale jest tam też wiosna, trwa krótko, bo tylko trzy miesiące bez śniegu, pozostała część roku to zima. Niemniej jednak te trzy miesiące były pewnym pocieszeniem, iskierką nadziei. Wtedy to ludzie, którzy przywieźli ze sobą jakiekolwiek ziarno, obsadzali małe poletka. Niektóre z nich kiełkowały, inne nie, ale liczył się każdy kłos, na zesłaniu ludzie szanowali każdą okruszynę chleba. Podczas wiosny Antonina, wraz ze swoimi siostrami, spędzała noce na dworze, pod gwiazdami, było to przyjemniejsze od snu w zatłoczonej lepiance. Gwazdaczowie odnajdowali momenty szczęścia nawet w prostych gestach, w byciu ze sobą we wspólnej rozmowie. Jeszcze jednym epizodem z życia małej Tosi, było przygarnięcie przez nią małego, zmizerniałego kotka, który po dwóch miesiącach tak bardzo się do niej przywiązał, że zaczął sypiać w nogach jej drewnianego łóżka. Ludzie musieli się wtedy cieszyć z najdrobniejszych uśmiechów losu, bo nadawało to większy sens ich życiu, pozwalało zapomnieć o kłopotach i troskach, chociaż na krótką chwilę. Z tego można wywnioskować, że nieważne w jakich czasach człowiek żyje, zawsze potrzebuje momentów radości aby czuć, że jego życie coś znaczy.

Sierpień, 1942 roku. Kolejnym ciosem była choroba pana Stanisława. Od rana miał silną gorączkę, mimo to musiał iść do pracy, a kiedy wrócił czuł się jeszcze gorzej. Wie-

czorem gorączka nadal nie spadała, a wręcz przeciwnie, temperatura ciała pana Stanisława była coraz wyższa. Wyprawa do przychodni nic by nie dała, lekarz nie przychodził do poszczególnych rodzin, wydawał tylko minimalne dawki potrzebnych lekarstw. Nie było niczego, co mogłoby uśmierzyć gorączkę. Ojciec położył się na zbitej z desek przychodni, a najmłodsza w rodzinie Antonina, mocno się do niego przytuliła. Minęła noc. Kiedy dziewczynka się obudziła, ojciec już nie żył. Pochowano go dzień później, na jednym z syberyjskich cmentarzy.

Wtedy to pani Katarzyna podjęła decyzję o opuszczeniu Sybiru. Było to możliwe, dzięki zawartemu 30 lipca 1941 roku, układowi, który zapewniał amnestię obywateli polskich przebywających w łagrach i więzieniach radzieckich. W październiku (1942 roku), matka wraz z piątką dzieci udała się do Kazachstanu. Znaczną część drogi pokonali pieszo, resztę przebyli na saniach jednego Rosjanina, a potem jadąc pociągiem towarowym.

Kazachstan, był nieco lepszym miejscem od Sybiru. Na tych, obszarach było zdecydowanie cieplej, a warunki życia były nieco przyjemniejsze. Mieszkania natomiast były podobne, ponieważ spora grupa zesłańców i tutaj mieszkała w lepiankach zbitych z desek, inni żyli w jurtach ze skór zwierzęcych. Dwie starsze siostry (Teofila oraz Celina) i matka pracowały w kołchozie. Starszy brat najął się do opieki nad końmi. Racje żywnościowe, za którymi trzeba było stać godzinami wynosiły tyle samo, co na Syberii – pół bochenka chleba. Tylko tym razem był on rozdzielany między sześć, a nie osiem osób. Dodatkowo czasem, podczas pracy w państwowych gospodarstwach rolnych, udało się zabrać matce lub jednej z sióstr, nieco drobnych warzyw, jedna, dwie małe marchewki, kilka ziemniaków.

Mieszkańcy Kazachstanu, czasem oferowali swoją pomoc rodzinom Kresowian, zabierając, na przykład jedno z ich dzieci na wychowanie, jednak należy pamiętać, że ich warunki życia również nie były tak dobre. Jedno z małżeństw kozackich chciało pomóc pani Katarzynie Gwazdacz i zabrać do siebie małą Tosię, na wychowanie, matka się nie zgodziła. Za bardzo kochała swoje dzieci, powiedziała tylko do córki: „Lepiej już żebyś umarła wśród swojej rodziny, niż u obcych”.

Była tam szkoła z bardzo niskim poziomem nauczania. Jako jedna z wielu, uczęszczała do niej także Antonina. Mało w niej było nauki, bardziej śpiewno i uczono jedynie podstawowych umiejętności matematycznych. W zimie dzieci bawiły się w jednym pomieszczeniu szkolnym, bez zabawek, po prostu tym, co znalazły lub tworzyły zabawy w swojej wyobraźni. Bynajmniej nie było to wymarzone dzieciństwo.

Życie zesłańców skończyło się dla rodziny Gwazdaczów w 1946 roku. Rodzina powróciła na tereny okupowanego kraju, tym razem na Dolny Śląsk i tam już pozostali. Trudno jest znaleźć dobitne słowa na opisanie sytuacji Kresowiaków podczas II wojny światowej, niemniej jednak uważam, że moja praca będzie stanowiła fragment historii Sybiraków, okrucieństw ich przeżyć, trosk i lęków. Myślę, że historia dramatu na Kresach Wschodnich, będzie jeszcze przez wiele lat pamiętana przez Polaków, a jeżeli nie, to zawsze znajdzie się ktoś, kto ocali ją od zapomnienia.

Moje życie na Kresach – wspomnienia dziadka

Mój dziadek Jan oraz babcia Maria ze strony mamy pochodzili z Płocka, tam też wzięli ślub w 1896 roku. W tym czasie na terenach Polski pod zaborem rosyjskim panowało bezrobocie. Na początku XX wieku dziadkowie zdecydowali się na wyjazd do Rosji w poszukiwaniu pracy, podobnie jak tysiące innych polskich rodzin. Znaleźli ją w Petersburgu i właśnie tu postanowili założyć rodzinę. Dziadek i babcia pracowali w fabryce pieniędzy. Dziadek pracował w mennicy, a babcia w dziale produkcji banknotów. Kilka lat później, dokładnie w roku 1910 przyszła na świat moja mama Jadwiga z domu Alchimowicz. Petersburg był miejscem, w którym spędziła lata dzieciństwa i okres młodości. Sielanka zakończyła się w 1917 roku. W Rosji coraz częstsze strajki i starcia zbrojne przerodziły się w rewolucję. W obawie o własne życie moi krewni uciekli na Kresy. W nieznanych mi okolicznościach dotarli do miejscowości Podświle powiat Dżisna, obecnie tereny Białorusi.

Ojciec Marcin Mysiak urodził się we wsi Rogów powiat Pińczów woj. Kielce. Wychował się w gospodarstwie siedmiomorgowym (około 3,5 hektara). W bardzo młodym wieku został sierotą i opiekowała się nim starsza siostra. Ich stosunki nie były najlepsze i w wieku 17 lat ojciec zaciągnął się do wojska. Podjął taką decyzję między innymi przez incydent ze szwagrem z którym wspólnie wyjechał do pracy do Prus. Przed powrotem do domu szwagier wstąpił do baru i przegrał tam wszystkie pieniądze. Ojciec wolał wstąpić do austriackiego wojska, niż wrócić do domu z pustymi rękami. W wojsku ukończył szkołę podoficerską i został zawodowym żołnierzem. W latach 20 został wysłany do Podświla, gdzie stacjonowała jednostka KOP (Korpus Ochrony Pogranicza).

W Podświle poznali się moi rodzice. Moja mama Jadwiga z zawodu krawcowa, szyła ubrania dla żon oficerów. Bywając w towarzystwie wojskowych poznała mojego ojca. Początkowo przyjaciele po krótkim czasie zostali małżonkami. Ślub odbył się ósmego listopada 1932 roku w parafii Bobrowszczyna. Ja urodziłem się w 1937 roku jako trzeci syn. Z opowieści rodziców wiem, że wiedliśmy spokojne życie. Mama nadal pracowała w zawodzie, a ojciec był już na emeryturze wojskowej (od roku 1938). Żył nam się dobrze do wybuchu wojny, który nastąpił we wrześniu 1939 roku. Jako pierwsi na terenach naszej miejscowości wkroczyli Rosjanie, a następnie w 1941 roku Niemcy. Byłem małym chłopcem, ale pamiętam jak wkroczyło wojsko rosyjskie. Rosjanie przyjechali konno i rozdawali dzieciom cukierki, jaki był ich stosunek do dorosłych nie pamiętam. Zaraz po przyjeździe Niemców moi rodzice zdecydowali się na przeprowadzkę do miasteczka Plissa. Ojciec pracował wówczas w jakimś niemieckim majątku, a mama szyla.

Nasze miasteczko zamieszkiwane było przez dużą liczbę Żydów. Na działania Niemców nie trzeba było długo czekać, w miasteczku założono getto. Następnie Niemcy wywozili gdzieś Żydów. Widziałem jak gromadzili ich na rynku i ładowali do ciężarówek. Początkowo my – Polacy nie odczuliśmy szczególnych represji. Pamiętam niemieckie patrole, które chodziły po mieście, czasami miały też miejsce obławy na partyzantów organizowane przez granatowych policjantów (Policja Polska Generalnego Gubernatorstwa). Kiedyś usłyszałem rozmowę rodziców, w której ojciec mówił matce, że przywieziono cztery ciała partyzantów i kilkanaście ciał granatowych.

Moja mama utrzymywała naszą rodzinę z krawiectwa. Pracowała przy przeróbkach ubrań należących do Żydów, które później trafiały w ręce granatowych policjantów. Mama otrzymywała za wykonaną pracę wynagrodzenie w naturze. Płacono jej mąką, mięsem, rybami i innymi produktami. Nie mogliśmy narzekać na głód, chociaż nasza sytuacja miała się diametralnie pogorszyć.

Pewnego dnia w 1944 roku Niemcy kazali wszystkim mieszkańcom natychmiast opuścić domy i gospodarstwa, następnie podpalili miasto. Zgromadzeni w lesie za rzeką ludzie bezradnie przyglądali się płonącemu dobytкови. Po kilku godzinach drewniane miasto doszczętnie spłonęło, a wraz z nim nadzieja na lepsze jutro. *(Dziadek zamilkł, jego oczy napływały łzami. Po chwili kontynuował opowiadanie).* W pamięci utkwił mi widok żołnierzy, którzy po wykonanej robocie spalili mosty i wycofali się przed nadchodzącym frontem radzieckim. W lesie spędziliśmy kilka dni, następnie wkroczyli Rosjanie. Ich przybycie zwiastowało kolejną stratę, mój ojciec został zabrany tylko dlatego, że był Polakiem i nie był w partyzantce. Jak się później dowiedzieliśmy przewieziono go do łagru, do domu wrócił w 1948 roku. Ojciec opowiadał, że początkowo zlecano im kopanie rowów i okopów, a po nadejściu Rosjan trafili do obozu. W Tule (rosyjskie miasteczko) osobno przetrzymywano cywilów i niemieckich żołnierzy.

Pozbawieni dachu nad głową i ojca zdaliśmy się na pomoc babci i dziadka. Dziadek znalazł mieszkanie u znajomego gospodarza o nazwisku Dońka we wsi Harnostaje. Mieszkanie to było tak naprawdę jedną izbą z polepą (zbita glina) zamiast drewnianej podłogi, ściany wykonane były z bali uszczelnionych mchem. W pomieszczeniu stał stół zbitý z desek, świerkowe pieńki do siedzenia oraz prycza. Jedynym źródłem ciepła był stary piec chlebowy, w którym się też gotowało. Źródłem światła były dwa małe okienka. Nasza ośmioosobowa wówczas rodzina musiała się zadowolić takimi warunkami. We wspomnianej izbie mieszkałem wraz z dziadkiem, babcią, mamą i czwórką rodzeństwa. Latem dało się jeszcze wytrzymać. Choć szczególnie dały nam się we znaki nie pozwalające zasnąć pluskwy, które były prawdziwym utrapieniem.

Wówczas wydawało nam się, że to najgorsze, co może nas spotkać. No i przyszła zima. Zima, której nie zapomnę do końca życia! Na moje wspomnienia składają się: śnieg po pas, siarczyste mrozy i jedno z najsmutniejszych świąt Bożego Narodzenia. *(Dziadek ze łzami w oczach wspominał spartańskie warunki).* Zimą mama, babcia i siostry spały na piecu, a my z racji tego, że jesteśmy mężczyznami musieliśmy zadowolić się pryczą i łachmanami, które służyły nam jako przykrycie. Każdej zimowej nocy budził mnie ból odmrożonych uszu, które z czasem zamieniły się w jeden wielki strup. Jakby tego było mało dokuczały nam wszy i pluskwy. Nigdy nie zapomnę smrodu tych

rozduszonych pasożytów. Do tego wszechobecny świerzb i ani grama mydła. Nie mieliśmy też bielizny, wszystkie nasze rzeczy osobiste spłonęły. Jedyną żywicielką rodziny była moja mama. Zajmowała się szyciem kożuchów i innych ubrań. Swoją pracę wykonywała u klientów, bo w naszej izbie było zbyt zimno. Za uszycie kożucha dostawała pud zboża (*jakieś 16 kilogramów*), które mieliśmy w żarnach. Następnie babcia gotowała z tego bryndzę, którą jedliśmy z apetytem. Teraz nie wiem, czy świnię by to zjadły... Zlecenia dla mamy dawali sąsiedzi, którzy litowali się nad naszą rodziną. Inaczej umarlibyśmy z głodu. Ludzie ze wsi dawali mamie z litości skóry baranie. Pewien gospodarz za uszycie kożucha zapłacił wyką, bo nie miał niczego innego. Zmieliśmy to w żarnach, a babcia zrobiła z tego placki. Były one tak gorzkie, że nie można ich było zjeść. Do dziś mam przed oczami swoją półtoraroczną siostrę, która jadła te placki i płakała. (*Ostatnie zdanie mówił łamiącym się głosem*). W lecie było lżej jagody, grzyby, ryby, raki, młode wrony wykradane z gniazd, a czasami nawet sarenka. Wszystko za sprawą starszego brata i dziadka.

Druga wojna światowa miała się już ku końcowi. Wiosną 1945 roku zaczęli pojawiać się Rosjanie z głębi Rosji, którzy chodzili po prośbie. Nie sposób było odmówić im jałmużny. Gospodarze mimo panującej nędzy dawali im chociaż po garści zboża. Z czasem zjawiało się ich coraz więcej, liczby dochodziły nawet do setki dziennie. Ludzie przestali im cokolwiek dawać, bo sami nie mieli co jeść. Głód szerzył się coraz bardziej. Doszło do tego, że ludzie zbierali zamrożnięte ziemniaki, suszyli je na słońcu i przyrzadzali z nich placki. Smród tego „przysmaku” rozchodził się po całej okolicy.

Zima 1945 roku okazała się jeszcze gorsza. Mrozy przekraczały nawet minus czterdzieści stopni Celsjusza, do tego nieustannie dokuczał nam głód. Nocami pod okoliczne zabudowania podchodziły wygłodniałe wilki. Często podchodziły do naszej izby opierały się łapami o okna i skomlały. Tydzień przed Bożym Narodzeniem dziadek zachorował na zapalenie płuc. Ciężko chorował przez cztery dni. Zmarł w Wigilię Bożego Narodzenia. Po Nowym Roku 1946 zmieniliśmy miejsce zamieszkania. Przygarnęli nas znajomi mamy, nareszcie mieliśmy ciepło. Mama nadal szyła, a zarobione produkty częściowo były przeznaczone do jedzenia. Z reszty robiliśmy chleb, który następnie suszyliśmy na podróż do Polski. Niebawem mieliśmy wrócić w rodzinne strony.

Czwartego kwietnia 1946 roku zawieziono nas na stację do Lidy, gdzie załadowano nas do wagonów towarowych z zapasem sucharów na tydzień. Nie wiem w jakim dniu przekroczyliśmy granicę. Mama ze starszym bratem poszli do urzędu PUR (Państwowy Urząd Repatriacyjny) skąd przynieśli pół wiadra grochówki, konserwy, pięć bochenków chleba oraz papier toaletowy. Widząc otrzymany chleb byliśmy pewni, że to bułka, taki był biały.

Przybycie do Polski było dla nas końcem swoistej gehenny, której doświadczyliśmy na Kresach. W trakcie trwania opisywanych wydarzeń byłem dzieckiem. Z perspektywy czasu nie mogę pojąć jak dzieci w wieku 11, 10, 6, 4 i 2 lat były w stanie przeżyć w tych czasach. Ja szczególnie zapamiętałem zimno, głód i pragnienie oraz smak chleba, który był wówczas szczytem marzeń.

Moja rodzinna miejscowość

Wszystko działo się w niegdyś polskiej wsi Łozowa, która po zakończeniu wojny została przyłączona do Ukrainy. Łozowa leżała w województwie Tarnopolskim. Była to wieś licząca 164 rodziny. Dokładna liczba ludzi była nieprecyzyjna. Jednakże pewną informacją jest liczba rodzin licząca 164 domów. Była to wieś, która składała się prawie z 85% Polaków, natomiast resztę stanowili Ukraińcy wraz z Rosjanami. Jednakże stosunki między ludźmi były bardzo przyjazne, każdy traktował swojego sąsiada niczym rodzinę. W naszej ubogiej wsi był kościół katolicki, wybudowana była również piękna polska szkoła oraz polski cmentarz. Łozowa znajdowała się około 7 km od Tarnopola, to tam uciekali ludzie wraz ze mną kiedy to banda UPA napadała na wieś i mordowano wszystkich Polaków. Zdarzało się również że mordowano Ukraińców, którzy mieszkali wraz z Polakami.

Najbliższą rodziną byli sąsiedzi, obok nas mieszkało nasze najbliższe kuzynostwo, od strony matki jak i od strony taty. Od strony matki była to Cieśla Sabina natomiast od strony ojca Anczurowski Franciszek. Z nami mieszkały moje dwie babcie, Gajowska Stanisława oraz Cieśla Maria. Mama mojej mamy oraz mama mojego ojca. Ojciec był stolarzem, robił meble, w dodatku miał dość spory kawał ziemi, na którym nie pracował. Na polu pracowali jego klienci, przywozili zboże, kosili siano, a wszystko to w zamian za meble, i inne przedmioty z drewna. Tego typu układy nazywano wymianą po znajomości. Ja urodziłem się 01.02.1934 roku, miałem tylko jednego młodszego brata Franciszka Gajewskiego, który urodził się 25.03.1941 roku. Nasze nazwiska różniły się ze względu na to, że w języku rosyjskim nie było „o”.

W Łozowej, moim miejscu urodzenia zacząłem chodzić do szkoły. Pierwsze moje dni nauki rozpoczynały się tak jak jest to dzisiaj od tzw. zerówki. Jednak wtedy dzisiejsza zerówka nazywała się „Nulką”. To Rosjanie wkraczając na tereny Łozowej wprowadzili takie pojęcie jak „Nulka” i tego typu rodzaj nauki. Nauka moja rozpoczęła się w 1940 roku. Natomiast w 1941 roku, kiedy miałem 7 lat, rozpocząłem klasę pierwszą, rok później drugą. Rosjanie wkroczyli na nasze rodzinne tereny w 1939 roku zaraz po tym jak Polacy skapitulowali. Przed wojną Rosjanie nie wkraczali na nasze tereny, zaczęło się to wszystko wraz z wybuchem wojny. Pierwsze pojawienie się Rosjan było już na początku września. Zwyczaje były obchodzone w ten sam sposób co teraz obchodzi się w Polsce. W związku z tym że niegdyś tamte tereny były terenami polskimi to zwyczaje oraz kultura były również polskie. Obchodzono święta Bożego Narodzenia, Święto Konstytucji

3 Maja i wiele innych polskich świąt. W Kościołach odbywały się pasterki. Jedynym od-
różnieniem były śluby polsko-ukraińskie. Święta były spędzane rodzinnie, jeżeli święta
Polaków i Ukraińców różniły się w kalendarzu paroma dniami to wówczas w dzień
świąt Polaków, woziliśmy Ukraińcom kolacje, natomiast kiedy to Ukraińcy mieli święta
to wozili nam kolacje ze swoimi daniami. Atmosfera podczas świąt była bardzo ciepła
i serdeczna. Wszyscy traktowali się niczym jedna wielka rodzina. Wszystko zmieniło
się po napadzie bandy UPA kiedy to władze walczyły o „wolną Ukrainę” i Polacy musieli
się usunąć z miejsca dotychczasowego zamieszkania. Powstała wtedy banda UPA osie-
dlała się w lesie, z którego napadała na polskie wioski i mordowała wszystkich Polaków.
Aby unikać tego typu katastrof Polacy postanowili się usunąć z tych terenów. Kiedy
banda UPA napadła na naszą wioskę w święta Bożego Narodzenia, zmuszeni byliśmy
do ucieczki. Spaliśmy w szkole na strychu lub u ciotki w domu, na saniach. Obawiali-
śmy się, że Ukraińcy napadną na wioskę i zabiją wszystkich Polaków. Niestety nie moż-
na było uniknąć śmierci naszych najbliższych. Przy napadzie bandy ukraińskiej zginęło
prawie 160 Polaków, sytuacja ta miała miejsce z 26 na 27 grudnia 1942 r. Zmusiło to
nas do wyjazdu do Tarnopola gdzie każdy musiał czekać na transport, który kierował
Polaków na Zachód. Mieszkaliśmy wtedy chwilowo w Tarnopolu, jednak moja mama
była dalej w rodzinnej wsi. Zajmowała się nią moja babcia. Była ona postrzelona rękę
w trakcie napadu Ukraińców. Niestety moja babcia zmarła tydzień przed wyjazdem
z Tarnopola na zachód. Pochowaliśmy ją w Łozowie, gdzie przy kościele powstała tzw.
„mogiła”. Chowano tam wszystkich, którzy byli wymordowani podczas napadów ukra-
ińskiej bandy. Pociągi były całe zapchane, ludzie nie mieścili się w wagonach. Transport
z Tarnopola doprowadził nas na zachód. Miastem do którego trafiliśmy był Krzyż. Były
to „Ziemie Odzyskane”. W związku z tym, że kiedyś były to tereny Niemiec, dalej miesz-
kali tam Niemcy. Gdy Polacy zostali tam wysłani, chodzili po domach i zajmowali wol-
ne domy, a Niemców wysyłali na dworce kolejowe, z których transportem deportowano
ich do Niemiec. Na dworcu kolejowym powstały nawet specjalne sektory dla Niemców
czekających na wywóz. Wszystko to wyglądało w taki sposób, w jaki nas potraktowa-
no w Tarnopolu. W wyniku przesunięcia granic po II wojnie, Tarnopol i Łozowa nie
należały już do Polski. Przez to kiedy Polacy osiedlili się w Krzyżu zostali na tej zie-
mi Niemców. Kiedy wracały transporty z Niemiec zabierali się nimi Polacy którzy byli
cały czas na zachodzie. Po każdym powrocie z zachodu wszyscy wychodzili na perony
z nadzieją na odnalezienie swojej rodziny, którą los okrutnie rozdzielił. Dzieci szukały
swoich ojców a żony mężów. Z czasem część ludzi odzyskała swoich najbliższych jednak
zdecydowana większość zginęła podczas wojny, w wyniku walk, zabójstw, chorób.

Historia mojej rodziny z Kresów

Każda rodzina jest inna. Posiada niepowtarzalne tradycje i obyczaje, swój specyficzny koloryt, a jej członkowie zachowują w pamięci wspomnienia o swoich krewnych. Mnie zainteresowały losy rodziny z Kresów.

Moja prababcia **Matylda Rodziewicz**, z domu **Pierniak** urodziła się w roku **1929** w **Weleśnicy Leśnej**, w gminie Majdan Średni, w powiecie nadworniańskim – woj. stanisławowskie (dziś wieś Kołomyjskiego rejonu obwodu Iwano-Frankowskiego Ukrainy). Babcia zmarła **18.01.2010 r.** Informacje starała się przekazywać rodzinie kiedy tylko mogła, część z nich zawarła w swoich wspomnieniach.

Często zastanawiałam się jak żyła, gdy była w moim wieku. Jej przeżycia związane były z latami II wojny światowej. Jako dziesięcioletnia dziewczynka dowiedziała się o wybuchu wojny, gdy mieszkała w **Bolechowie** (powiat doliński województwa stanisławowskiego II Rzeczypospolitej. Siedzibą było miasto **Dolina**). Tam uczęszczała do Publicznej Szkoły Powszechnej im. Królowej Jadwigi. Jej mama **Albina Pierniak** (z domu **Łobos**) opiekowała się dziećmi: Antonim, Matyldą, Domicellą oraz Janiną. Miała jeszcze jednego brata Stanisława, który zmarł mając zaledwie 14 dni. Jej ojciec **Jan Pierniak** był kolejjarzem. Po 17 września 1939 roku wszyscy kolejjarze otrzymali rozkaz wyjazdu z rodzinami z Bolechowa do Rumunii, specjalnie podstawionym pociągiem. W tym samym czasie Niemcy zorganizowali nalot na dworzec kolejowy. Ludzie uciekali w popłochu. „Pamiętam płacz kobiet i dzieci oraz krzyk, ten przeraźliwy krzyk...” – mówiła prababcia. Zginęło kilka osób. Nie udało się wtedy wyjechać. Ojciec prababci musiał zostać, a mama z dziećmi wyjechała do rodziny do **Weleśnicy Leśnej**, gdzie mieszkali do 30.06.1941 roku.

Gdy do Polski weszły wojska radzieckie wiele się zmieniło (Nie udało mi się zebrać na ten temat informacji). Rozpoczęły się aresztowania i wywózki na Sybir. Nie wolno było mówić po polsku, nie było książek ani zeszytów. W szkole dzieci musiały uczyć się rosyjskiego. Ojciec prababci w tym czasie pracował na dworcu kolejowym w Nadworniej. Do pracy chodził pieszo osiem kilometrów. Po kilku miesiącach został zwolniony, tak jak wszyscy polscy kolejjarze, ale rozpoczął pracę w Hucie Szkła. Według relacji prababci: „Jeszcze gorzej było po 1941, po ataku hitlerowskim na Sowieć. Więcej było nalotów i bombardowań. Ginęli żołnierze i ludność cywilna. Niemcy kazali Polakom wrócić tam, gdzie pracowali przed 1939”. Ojciec prababci wrócił do pracy na kolei, a ro-

dzina do Bolechowa, gdzie dostali służbowe mieszkanie. W 1941 roku w Bolechowie była ogromna powódź, a po niej straszny głód. Nie można było kupić nic do jedzenia. Ludzie stali w długich kolejkach po chleb, a żołnierze niemieccy rozpędzali te kolejki. Wtedy ksiądz zaproponował rodzicom pomoc – zabranie młodszych dzieci (Domicelli i Janiny) do Barda. Przebywały tam do końca wojny. W Bolechowie Niemcy utworzyli getto dla Żydów. Mieszkańcom nie wolno było chodzić po tej samej stronie ulicy. Pewnego dnia, gdy prababcia wracała ze szkoły do domu widziała jak wyprowadzano Żydów. Mówili, że wywożą ich „do Bełży” (Bełżec), do krematorium. Widziała swoje koleżanki ze szkoły. Czternastoletnia Matylda po ukończeniu siódmej klasy rozpoczęła pracę w pobliskiej fabryce beczek. Dostała wezwanie na roboty do Niemiec, ale ciężka praca uchroniła ją przed tym wyjazdem. Pewnej nocy zakład spłonął a pracownicy sami go odbudowali. Tragiczne wspomnienia prababci związane były też z bandami UPA. Gdy zbliżał się front grasowały bandy tzw. ukraińskich partyzantów. Banderowcy napadali na polskie rodziny, mordowali, palili domy. Ojciec prababci został w Bolechowie, ale żonę, syna i Matyldę zawiózł do Rymanowa.

Gdy zbliżał się front, hitlerowcy wywozili wszystkich kolejarzy do Niemiec. Podczas bombardowania udało mu się zbiec. Trafił do zakonu w Bochni, gdzie przebywała potem jego dwie córki. Jakiś czas tam pracował. Po przejściu frontu odnalazł rodzinę i razem zamieszkali w Zagrzu, gdzie zostali do zakończenia wojny. 15.10.1945 roku przyjechali do Leśnej, gdyż ojciec prababci dostał skierowanie do pracy na kolei. Dostali dom i wkrótce przyjechały do nich córki. Prababcia poznała tam swojego przyszłego męża Wacława Rodziewicza, który także pracował na kolei. Mieli czworo dzieci: Krystynę, Irenę (moją babcię), Teresę i Jerzego.

Mimo, iż prababci nie ma już wśród nas, to w rodzinie pozostały wspomnienia. Staram się ocalić od zapomnienia historię mojej prababci, aby w przyszłości przekazywać ją swoim dzieciom.

MICHAŁ TARCZYŃSKI

Zespół Szkół Technicznych i Licealnych w Piechowicach

Wspomnienia Tadeusza Draba

Nazywam się Tadeusz Drab, urodziłem się na Kresach Wschodnich 01.07.1938 roku we wsi Wojtowicze woj. Nowogródzkie powiat Lida (obecnie Białoruś) w rodzinie wielodzietnej. Miałem 2 siostry (Helena ur. w 1936 r., Leonarda ur. w 1937 r.) i 3 braci (Władysław ur. w 1931 r., Julian ur. w 1933r. , Jan ur. w 1935 r.). W mieście Lida przepływała rzeka Bierzina, która wpadała do Niemna. Wokół rozciągały się lasy i pola. W okolicy przepływała też rzeka Żyrzma, w pobliżu tej rzeki było wykopalisko torfu. W mieście Lida były też ruiny twierdzy obronnej. Ojciec Józef z mamą Heleną pracowali na własnym gospodarstwie – mieli 7 hektarów ziemi. Zostałem ochrzczony w kościele parafialnym rzymsko-katolickim w miejscowości Trokiele. W kościele tym był Cudowny Obraz Matki Boskiej. Co roku 2 lipca w naszej parafii odbywał się odpust, ludzie jeździli się z różnych stron dwa, trzy dni przed odpustem.

Byłem najmłodszy z rodzeństwa, starsze siostry i bracia pomagali rodzicom w gospodarstwie. W Wojtowiczach była szkoła podstawowa od I do IV klasy. Moje 2 siostry i starszy brat byli uczeni w języku polskim. W 1944 r. przyszli bolszewicy (Rosjanie) i zabronili uczyć w szkole w języku polskim. Przywieźli swoją nauczycielkę panią Tatianę Iwanową-Mikołajewną, która uczyła w języku rosyjskim i białoruskim. Uczęszczałem do tej szkoły gdzie ukończyłem 4 klasy wraz z moimi kolegami: Aleksiewicz Czesława, Aleksiewicz Gienia, Drab Stanisław, Drab Reniek, Bielewska Henia, Aleksiewicz Stasiak, Kotkowska Janina, Burak Michał, Anacko Franek, Rubel Leon, Drab Janina. W tym czasie siostra Helena uczyła mnie pisać i czytać po polsku. Podręczników szkolnych nie miałem, jedynie zeszyt w trzy linie, pióro do pisania ze stalówką i atrament w butelce. Następnie uczęszczałem do drugiej szkoły 7-letniej w miejscowości Zabołoc wraz z kolegami: Dulko Teresa, Rubel Leon, Drab Janina, Żwierko Franek, Boguszewicz Czesiek. Języka rosyjskiego uczyła mnie pani Dina Andreiewna, języka białoruskiego pani Dusia Zajcewa, a języka niemieckiego pan Iwan Iwanowicz. Było to 3,5 km od naszej wioski. W tej szkole ukończyłem 5 i 6 klasę.

W roku 1947 umiera nasz ojciec, zostaliśmy z mamą sami. Do 7-mej klasy nie uczęszczałem z powodu ciężkich warunków rodzinnych. W tym czasie średni brat Julian uległ wypadkowi, popędzał konie w kieracie przy młóceniu zboża, miał połamaną nogę, którą lekarze musieli amputować. W roku 1951 lub '52 władza radziecka założyła kolchozy pod przymusem, zabrali nam ziemię i każdy z rolników dostał tylko 30 arów ziemi w celu posadzenia ziemniaków i warzyw, i wtedy zaczęła się bieda.

W latach 1953-54 nauczyłem się grać na akordeonie i czasem udało mi się grając zarobić parę złotych. W kołchozie pracowałem się przez pół roku bez wynagrodzenia. Były zapisywane robocze dniówki i po żniwach, jak był urodzaj to dostaliśmy zamiast pieniędzy parę kilogramów zboża. W domu często brakowało chleba. Później brat, który jest inwalidą wyuczył się na krawca i ja mu pomagałem szyć. W listopadzie 1955 r. mając 18 lat razem z kolegami pojechaliśmy na tzw. werbówkę w celu zarobkowym. Wyjechaliśmy do Fińskiej Republiki, do miejscowości Kobskoje. Tam pracowaliśmy jako drwale przy wyrębie lasu za nieduże pieniądze. Mieszkaliśmy w drewnianych barakach, warunki były bardzo ciężkie. Pracowaliśmy tam tylko do lutego 1956 r., później z kolegami uciekliśmy, chociaż umowa była podpisana do końca miesiąca kwietnia. Od kwietnia 1956 r. pracowałem w Kołchozie.

W roku 1956 w listopadzie ponownie pojechaliśmy z kolegami na werbówkę do Rosji do miejscowości Wojbora rejon Archangielsk. Pracowaliśmy do kwietnia 1957 roku jako drwale. Warunki też były bardzo ciężkie, ale zarobki były lepsze. W kwietniu 1957 r. wraz z kolegami wróciliśmy do domu i dowiedziałem się, że jest deportacja do Polski. W lipcu 1957 r. pojechaliśmy do Polski na „ziemie odzyskane” z mamą i bratem Julianem, który był już żonaty i osiedliliśmy się w Piechowicach. Starszy brat Alek z rodziną osiedlił się wcześniej w Gdańsku, a siostra Helena i Leonarda zostały na wschodzie. W sierpniu 1958 r. podjąłem pracę w „Karelmie” w Piechowicach jako pracownik fizyczny przy nawijaniu silników elektrycznych. W tym czasie chodziłem również do szkoły podstawowej wieczorowej dla dorosłych w Piechowicach gdzie ukończyłem 7 klasę. W 1960 r. ukończyłem kurs spawacza z uprawnieniem spawania elektryczno-gazowego i pojąłem pracę jako spawacz. Po 8 latach pracy jako spawacz zrobiłem dyplom mistrzowski spawacza. W Karkonoskich zakładach maszyn elektrycznych „Karelnia” przepracowałem 35 lat jako spawacz. W 1992 roku za porozumieniem stron podjąłem pracę w Zespole Szkół Elektryczno-Mechanicznych w Piechowicach jako nauczyciel praktycznej nauki zawodu. Aby pracować z młodzieżą ukończyłem kurs pedagogiczny w Jeleniej Górze. W zawodzie nauczyciela przepracowałem 13 lat. Mam rodzinę: żonę, dwie córki, syna oraz czworo wnucząt. Moje hobby na emeryturze to uprawa działki, na której często spotykamy się z rodziną i znajomymi.

Moja rodzinna miejscowość „Z Kołomyi do Kromnowa”

Wywiad przeprowadzony z Moją Babcią – Jadwigą Ruchałą, która przeżyła ciężką drogę dzieciństwa w czasie wojny z Kresów Wschodnich do Kromnowa.

Gdzie i kiedy się urodziłaś?

Urodziłam się 20 września 1937 rok. Pochodzę z Kresów Wschodnich ze wsi Utoropy, gmina Jabłonków, położonej tuż przy granicy z Rumunią.

Kim byli twoi rodzice?

Mój ojciec Karol Wołoszczuk pochodził z Pistynia z wielodzietnej rodziny. W 1936 roku ożenił się z Madą Romanowską. Moja prababcia Maria była córką gospodarza Jakuba i Katarzyny Romanowskiej. Nowożeńcom podarowała 40 morgów ziemi, na której mój tato wybudował wspaniały dom z gankiem piwnicą i oborą. Pamiętam, że przed domem kwitły piękne malwy.

Czy masz jakieś rodzeństwo?

Tak. Kiedy miałam 2 latka w 1939 roku urodził się mój brat Staszek. W tym samym czasie wybuchła II wojna światowa. Z opowiadań mamy dowiedziałam się, że kobiety nie płakały za swoimi synami i mężami, którzy byli powołani do wojska. Tylko nosiły piach i wodę na strych, gdyż „Wojna wkrótce się skończy a my nie oddamy za Polskę nawet guzika”.

Co się stało z twoim tatą w czasie wybuchu wojny?

Tato w chwili wybuchu wojny został powołany do wojska, tak jak inni mężczyźni ze wsi. Wrócił bardzo zmęczony ze Stanisławowa, a także przygnębiony klęską naszej armii.

Co się działo we wsi, gdy we wrześniu 1939 roku Związek Radziecki napadł na Polskę?

Przez naszą wieś przejeżdżali wojskowi i cywile w stronę Rumunii. Ze wsi młodzi chłopcy także dołączyli do nich.

Dlaczego ludność Polska bała się żołnierzy sowieckich?

Ludność Polska bała się żołnierzy sowieckich, ponieważ chodziły pogłoski o mordach dokonywanych na Polakach przez Armię Czerwoną.

Nie baliście się?

Rodzice bardzo się bali. Noce spędzaliśmy po domach sąsiedzkich, śpiąc w izbie na podłodze. Kiedy mężczyźni pilnowali to kobiety i dzieci spały. Wszyscy pilnujący mężczyźni zostali wystrzelani, więcej się po domach nie ukrywaliśmy.

Tato dla bezpieczeństwa mojego i brata zbudował ziemiankę nad rzeką, abym mogła się z bratem ukryć przed żołnierzami. Lecz musiał to zburzyć, gdyż miał przez to same kłopoty, ponieważ wielu podejrzewało ojca o ukrywanie partyzantów. Ziemiankę trzeba było zburzyć, a w końcu plotki przestały krążyć.

Co działo się później?

Rodzice dostali nakaz wyjazdu do Niemiec do przymusowej pracy, albo do pracy w majątku niemieckiego oficera w pobliskiej Wiśniówce, więc wybrali pracę w majątku. Do Wiśniówki jechaliśmy 2 dni wyboistą drogą. Jechała kolumna wozów, a do naszego wozu przyczepiona była krowa.

Czy pamiętasz tę podróż?

Pamiętam dobrze tą podróż, wtedy dygotałam z zimna i ze strachu przed niepewną przyszłością. Pamiętam również przerwę w podróży, jak rozsiedliśmy się pod stogiem słomy i spożywaliśmy śniadanie przygotowane przez mamę na drogę.

Po dotarciu do Wiśniówki zamieszkaliśmy w dużym budynku zajmując jedną izdebkę z małą sienią. Rodzice dowiedzieli się, że będą pracować w gospodarstwie. Dzięki temu, czasem, wraz z bratem mogłam zjeść kleik zrobiony ze zmielonej pszenicy na żarnach.

Jaka była zima w 1943 roku?

Zima tego roku, gdy zamieszkaliśmy w Wiśniówce była bardzo sroga –45 stopni Celsjusza. W tym samym czasie tato wykonywał pracę woźnicy i zwoził z lasu pnie drzew. Dzięki temu dostarczał do naszej izdebki trochę gałęzi do paleniu w piecu, a mama przetapiała śnieg na wodę. Nie było zapalek, dlatego ogień był dla nas najważniejszy, nie można było doprowadzić do wygaśnięcia paleniska. Pamiętam jak raz zdarzyło się, że ogień prawie wygasł. Mama znalazła w popiele kawałek drewna, owinęła go słomą i tak długo dmuchała, aż słomka ku radości wszystkich zapaliła się. Sama później prze-

konałam się, co znaczy powiedzenie o tym, że wpada się do kogoś, jak po ogień. Czyli na sekundę, na chwilę.

Jak spędziliście święta?

W wigilię niestety było bardzo biednie na stole, nie mieliśmy nawet choinki, do jedzenia była tylko kutia. Pamiętam jak kolędnicy śpiewali kolędy pod oknami, lecz było nam smutno, że jesteśmy z dala od rodzinnego domu, ale jednak cieszyliśmy się, że jesteśmy razem, że wojna nas nie rozłączyła.

Co działo się w kolejnym roku?

W następnym roku kiedy przyszła wiosna i lato mama gotowała młodszemu bratu i mnie zupę z lebiody, jej smak pamiętam do dziś. Jednak kiedy zbliżał się front, Niemcy wraz z rodzinami opuścili majątek, a my mogliśmy wrócić do naszej wsi. Tato otrzymał powołanie do II Armii Wojska Polskiego. Służył w brygadzie sanitarnej i doszedł szlakiem bojowym aż do Drezna.

Kiedy wróciliście do waszej wsi, to gdzie zamieszkaliście?

Na początku przez jakiś czas mieszkaliśmy jeszcze w Wiśniówce, a potem zamieszkaliśmy u babci. W naszym domu oficerowie radzieccy urządzili sobie kwatery. U babci zostałam z mamą i bratem Staszkiem. Kiedy front ruszył dalej, zamieszkaliśmy na ojcowiznie.

Co pamiętasz z tego okresu?

W tym czasie na dwór wychodziliśmy bardzo rzadko, ponieważ mama bała się bomb-pułapek, które były wykonane, jak prawdziwe zabawki. Rzucane były przez Niemców z samolotów, a ofiarami były dzieci. Pamiętam jak mój braciszek mając 4 latka z ciekawości poszedł do ogródka i zobaczył tam doły, wtedy oficer dał mu porządnego klapsa, aż zaczął się jękać i strasznie płakał. Za to oficer dał mu pajdę suchego chleba, którą mógł w wodzie i jadł. Oficer zwrócił mamie uwagę, aby dzieci nie wchodziły do ogródka.

Pamiętam że kiedy Rosjanie opuścili kwatery, samoloty leciały bardzo nisko i głośno, a drogą jechały rzędem czołgi. Bardzo mnie to przeraziło, ale okazało się, że żołnierze jadą na Zachód. Wtedy zaczęła się masakra dla Polaków, a dla nas mogło zakończyć się to nawet śmiercią. W grudniu 1944 roku spalił się kościół katolicki w Pistyniu, a pożar było widać na kilka wiosek, podpalenia dokonali Ukraińcy pod dowództwem Stefana Bandery. Spaliła się także gmina Jabłonów. Rozpoczęła się zima i obfite opady śniegu, a my w obawie o najgorsze ukrywaliśmy się pod drzewami w zaspach śnieżnych, gdyż banda Ukraińców mordowała nocą, a w dzień ci sami ludzie byli spokojnymi sąsiadami.

W Wigilię 1944 r. spalił się nasz dom, Ukraińcy zamordowali 50 rodzin, moją chrestną rzucili żywcem do ognia, a męża zastrzelili kiedy uciekał. W tym cza-

sie mama nas wywiozła do cioci Rozalii Karpiuk, która wyszła za mąż za Ukraińca. Mama sama chciała przenocować, więc przedostała się do sąsiedniej wioski, do znajomej, lecz ta bardzo się bała i odmówiła jej gościny. Mama uznała, że najbezpieczniej będzie pod ścianą ukraińskiego domu, bo nikomu nie przyjdzie do głowy szukać jej w tym miejscu.

W Boże Narodzenie mama wróciła do domu znalazła babcię przestraszoną i przeziębioną, która spała w stogu siana. Z domu spalonego wzięła garnki żeliwne, nadpaloną pierzynę. Te święta skończyły się dla nas szczęśliwie, kiedy wokół nas było wiele nieszczęścia. Po tych przeżyciach wsiedliśmy na wóz i ruszyliśmy niezwłocznie do Kołomyi, tam zamieszkaliśmy u krewnych.

Jak było w Kołomyi?

W Kołomyi było bardzo ciężko, gdyż mama musiała jechać często poza miasto po siano. Nie było mostów, przejeżdżała po lodzie wozem, a raz lód się załamał i mama wpadła do wody. Bogu dzięki że było płytko, ale wyszła z tej opresji przemarznięta do „szpiku kości”. Mimo wszystko wróciła bardzo zadowolona do domu, że przywiozła siano dla bydła. W styczniu 1945 roku umiera babcia Katarzyna Romanowska, a my bardzo żałowaliśmy, że nas opuściła. Babcia w tamtych czasach dzielnie wspierała mamę i troskliwie opiekowała się nami.

Uważam, że taka potrafi być tylko polska kobieta dzielna, silna, której nie sposób było ostatecznie pokonać.

Jak potoczyły się losy twojego taty?

Tato walczył na wojnie i szedł szlakiem: Wał Pomorski, Szczecin, Wrocław. Przemierzał Dolny Śląsk, który po wiekach wracał do Polski. Zdecydował się zamieszkać w Pasieczniku jesienią 1945 roku. Kochał konie i ziemię, więc przydzielono mu gospodarstwo w Pasieczniku w gminie Lwówek Śląski. Tato zamieszkał w dużym piętrowym domu, od początku kiedy się tam przeprowadził dzielił dom ze starszym małżeństwem, którzy na wojnie stracili dwóch synów. Ci ludzie do końca wojny byli właścicielami domu, a po wojnie zostali deportowani do Niemiec, przez dłuższy czas prowadzili z ojcem korespondencję.

Kiedy wyjechaliście z Kołomyi w nieznane?

Jesienią 1945 roku wyjechaliśmy na zawsze z Kresów Wschodnich do Polski. Ciocia upiekła nam chleb z mąki kukurydzianej, a mama wzięła piecyk tak zwaną „kozę”, kilka garnków żeliwnych i pierzynę, która ocalała z pożaru na wsi. Wczesnym rankiem wyjechaliśmy pociągiem. Podróż trwała siedem tygodni, jechaliśmy w wagonach towarowych dla bydła. Kiedy pociąg stawał, kobiety szły po wodę, a raz pewnego pociąg ruszył, kobiety musiały wylać wodę i gonić pociąg. W czasie podróży okazało się, że stryjek Janek miał nie w porządku papiery, więc zatrzymali go rosyjscy pogranicznicy. Dowie-

dzieliśmy się później, że stryj korzystając z ich nie uwagi uciekł i schował się w stogu słomy na polu. Jednak Rosjanie podejrzewali, że mógł się tam schować, więc otoczyli stóg i dźgali bagnetami. Stryjek to przetrzymał bez żadnego jęku, ale wielokrotnie został zraniony. Po trzech dniach dogonił pociąg. Pamiętam na postoju w Zielonej Górze dostaliśmy pierwszy raz po tylu tygodniach biały chleb. W samą Wigilię 1945 roku pociąg dojechał do końcowej stacji Żagań, tu zakończył swoją trasę, a my podróż.

Komisja zawiozła nas do domu leśniczego. W Boże Narodzenie zaprosili nas na śniadanie, gdzie zobaczyłam pierwszy raz choinkę, a także doznałam niezwykłego, ciepłego przyjęcia ze strony gospodarzy. W drugi dzień świąt odnalazł nas tato, przywiózł nam smaczne cukierki. Załatwił nam transport do Jeleniej Góry, a następnie sąsiedzi przywieźli nas do domu do Pasiecznika. W Pasieczniku dostaliśmy jeden duży pokój. Dla mnie i mojej rodziny rozpoczęła się praca w czasie pokoju, a była to praca na gospodarce. Pola znajdowały się bardzo daleko od domu, bliżej innych wsi. W końcu wujek Franek Wołoszczuk podarował nam żrebaka, który wyrósł wspaniałego konia, a nazwaliśmy go Misiek, ponieważ był podobny do koloru misia.

Kiedy zaczęłaś chodzić do szkoły?

Od września 1946 roku wynosiliśmy niemieckie książki na podwórko. Była to powszechna szkoła podstawowa, gdzie było siedem klas i dwóch nauczycieli. Pamiętam, że były dzieci w różnym wieku, a na tablicy robiło się gazetkę na temat wszystkich dzieci.

Z jakiego powodu rodzice przeprowadzili się do Kromnowa?

W 1958 roku rodzice przeprowadzili się do Kromnowa, gdzie kupili duży dom w centrum wsi z dużym gospodarstwem. Ziemię mieliśmy blisko domu, dogodne warunki. Po ukończeniu szkoły zawodowej we Wrocławiu pracowałam w Miłkowie, w prewentorium dziecięcym, a tam poznałam mojego męża Józefa. W roku 1960 wyszłam za niego za mąż. Zamieszkaliśmy u moich rodziców w Kromnowie.

Przez 15 lat pracowałam z rodzicami na gospodarce, później pracowałam w piarni, skąd przeszłam na wczesną emeryturę. W 1976 roku mąż pracował w zakładzie energetycznym w Jeleniej Górze, a ja w międzyczasie urodziłam czworo dzieci. Wszystkie dzieci pozakładały rodziny, a dziś mamy jedenaścioro wnuków, a także czterech prawnuków.

Co się zmieniło w czasie zamieszkania w Kromnowie?

Stojąc na podwórku rozglądałam się wokół, lecz nie widzę już starych znajomych, sąsiadów, lecz cieszy mnie jednak widok młodych ludzi, które zaczynają tu nowe życie.

Opowieść babci

Moja babcia Kazimiera Chochulska z domu Kondratowicz właśnie skończyła 80 lat. Pochodzi z Wileńszczyzny. Kiedy wybuchła II wojna światowa, była 6-letnią dziewczynką. Do tej pory wspomina wydarzenia z tamtego okresu i chętnie się nimi dzieli. Mieszka z nami, mamy bardzo dobry kontakt, więc często opowiada o swoich losach, a ja chętnie słucham jej wspomnień. Zapisalam te opowieści, żeby je ocalić od zapomnienia:

Moi rodzice: Jerzy i Weronika Kondratowicz z domu Ignatowicz – opowiada Kazimiera – mieszkali w Wilnie. Ojciec od zawsze lubił zwierzęta, dlatego przenieśli się z miasta na wieś Horawce w województwie wileńskim, gdzie pracował jako leśniczy. Następnie został przeniesiony do wsi Piłaty. W tej wsi na świat przyszedłem ja, jako piąte dziecko w rodzinie. Moje rodzeństwo to: brat Waław, który ukończył Konserwatorium Muzyczne w Wilnie i później pracował jako organista w kościołach, siostra Czesława, Leokadia i Janina. Miałam szczęśliwe dzieciństwo. Dobrze nam się powodziło. Jako najmłodsza z rodzeństwa byłam rozpieszczana i nie znałam biedy ani trosk. Nie spodziewałam się, że przyjdzie mi tak szybko dorosnąć i na własnej skórze odczuć niedolę „sieroty”. Kiedy miałam 5 lat, moja starsza siostra Czesława wyszła za mąż za Arkadiusza Lasowicza. Mieszkali we wsi Stara Linia około 20 km od nas. W 1940 roku przyjechała do moich rodziców i zaprosiła mnie do siebie na jakiś czas. Byłam mała i nie chodziłam jeszcze do szkoły, więc rodzice się zgodzili. W czasie mojej nieobecności wydarzyło się straszne nieszczęście – 10 lutego 1940 roku rodziców oraz moje rodzeństwo: Waławę, Leokadię i Janinę wywieźli na Syberię. Nikt nie był na to przygotowany, ale mieli „szczęście w nieszczęściu”, bo gdy przejeżdżali przez wieś Zalesie, jakimś cudem spotkali naszych krewnych i dostali od nich to, co było wtedy najważniejsze – trochę chleba i ciepłe ubrania. Oni przekazali bliskim, co się stało z moimi rodzicami.

Ja – beztroskie dziecko – nie rozumiałam tragizmu sytuacji i nie przejęłam się tym za bardzo. Chodziłam do sąsiadów i powtarzałam: „aaa... Kondratowiczów wywieźli”. Kiedy dzisiaj o tym myślę, dziwię się, że byłam taka nieświadomiona i głupiutka. Jak to dobrze, że teraz rodzice rozmawiają nawet z małymi dziećmi i tłumaczą im wszystko.

Siostra pojechała do opuszczonego przez moją rodzinę domu i zastała straszne zniszczenia. Wszystko było skradzione oprócz dwóch świętych obrazów, które znalazła w „opłakanym stanie”, odarte z ram. Podeptane leżały w kurzu na podłodze.

Obrazy przedstawiały Matkę Boską Ostrobramską i Pana Jezusa w Ogrójcu. Obydwa są do dzisiaj w rodzinie i są naszą cenną pamiątką.

Zostałam w domu siostry Czesławy Lasowicz. To ona mnie wychowała. U niej dorastałam. Poszłam do szkoły w Górkach. Nauczycielka była Rosjanką. Na imię miała Larysa. Znała moją rodzinę i była dla mnie bardzo dobra, brała mnie na kolana, przytulała, głaskała po włosach. Wiedziała, że brakuje mi mamy. Bardzo tęskniłam za rodzicami i rodzeństwem. Często płakałam. Listy z Syberii przychodziły bardzo rzadko. Siadałyśmy wówczas z Czesią i po kilkadziesiąt razy je czytałyśmy. Coraz bardziej zanikał mi w pamięci obraz mojej mamy, więc wydawało mi się, że wtedy będę bliżej niej. Krótkie listy nie mogły zawierać zbyt wielu informacji, bo były cenzurowane, ale i tak cieszyłyśmy się tymi wiadomościami. Znałam je na pamięć. Czesia traktowała mnie dobrze, ale tęskniłam za mamą. Z czasem zrozumiałam, co to znaczy być sierotą. Gdy podrosła córka siostry – Irena, bywało różnie. Wychowywałyśmy się razem i mimo sporów byłyśmy jak przyjaciółki (obecnie ma 72 lata i mieszka we Wrocławiu). Pocieszam się, że mogło być gorzej, bo mogłam mieszkać u obcych ludzi lub trafić z rodziną na Syberię. Na pewno nie miałabym szans na przeżycie, bo tam dzieci umierały. Jedna z moich siostr Leokadia też była ciężko chora, ale żyje do tej pory, bo mama jakimś cudem ją wtedy uratowała. Obecnie ma 91 lat i mieszka ze swoim synem Zbigniewem w Gliwicach. Z Syberii zaciągnęła się do Ludowego Wojska Polskiego i jako radiotelegrafistka przeszła cały front. Niestety, właśnie ta część historii w dużej mierze nie zostanie już odtworzona, ponieważ Leokadia Greniuch straciła pamięć.

Wracając do wspomnień... Często odwiedzałam znajomą Czesi, którą nazywałam ciocią Fiodorą. Bardzo mnie lubiła, a ja ją kochałam jak babcię. Mieszkała w Zalesiu, miejscowości oddalonej około 15 km od nas. Kiedy wyjeżdżałyśmy do Polski, żegnała mnie ze łzami w oczach. Powiedziała mi na pożegnanie: „Cierpię, ale wiem i rozumiem, że jedziesz do mamy.” Nie miała mi co ofiarować, ale zdjęła z szyi i oddała mi łańcuszek z wisiorkiem, z zielonym oczkiem. Mam go do dzisiaj.

Trwała II wojna światowa. Był rok 1941. Niemcy zajęli nasze tereny. Kiedyś wracałam do domu od cioci Fiodory, która odprowadzała mnie do Pohostu (miasteczko ok. 8 km od domu). Dalej poszłam sama. Miałam wtedy około 8 lat. W tamtych czasach nie było innych środków transportu. Jeżeli można było, to jechało się furmanką lub konno. Oj najeżdżałam się. Ale wtedy musiałam iść pieszo. Zawsze byłam odważna i samodzielna. Idąc, usłyszałam strzały dochodzące z pola. Zobaczyłam Niemców z karabinami. Krzyczeli „gdzie są partyzanci, gdzie bandyci?” Przerażona nie mogłam głosu wydobyć i powoli się wycofałam. Wróciłam do Pohostu. Nie znalazłam cioci. Następnie udałam się w kierunku Zalesia. Ciocia dogoniła mnie i uściskała, szczęśliwa, że żyję. Słyszała strzelaninę i myślała, że już mnie nie zobaczy. Wróciłyśmy do niej i dopiero po trzech dniach wypuściła mnie do domu. Minęłam Pohost. Szłam przez pola, z których zostało tylko pobojuwisko. Jeszcze dziś mam przed oczyma straszny obraz – doły po granatach, sztywno leżące konie, przewrócone wozy... Jakiś gospodarz ściągał skóry z koni. Podobno robił z nich buty i odzież. To było straszne, ale tak wyglądało wtedy życie. Nikt się niczemu nie dziwił.

Moja siostra dowiedziała się o tej strzelaninie i bardzo się o mnie martwiła. Kiedy wróciłam cała i zdrowa do domu, i opowiedziałam jej wszystko, ucieszyła się, że dotarłam bezpiecznie.

Z wojny powrócił mąż Czesławy. Wszyscy się cieszyli, niestety radość nie trwała zbyt długo, bo okazało się, że jest bardzo chory. Z powodu odniesionych ran został wcześniej zwolniony do domu. Siostra szukała, gdzie tylko mogła jakichś lekarzy, a że byli to Żydzi, to tylko dawali złudną nadzieję na poprawę i wołali o zapłatę. Kochająca żona wyprzedawała co mogła. Zaczęło nam wszystkiego brakować. Poszłam do pracy do kołchozu. Pracowałam ciężko. Wykonywałam różne prace polowe. Żęłam zboże sierpem, robiłam snopy, pomagałam młócić. Wstawałam o 4 rano i doiłam krowy. Mało płacili. Zarobki były głodowe, dlatego ukradkiem każdy w kieszeniach wynosił chociaż trochę jakiegoś zboża. Czasem udało się zdobyć kilka ziemniaków. To już był rarytas. Zboże miało się i można było upiec chleb, lub zrobić jakieś placki. Nikt nie mógł uprawiać własnej ziemi, ponieważ została ona odebrana gospodarzom. Wszyscy obowiązkowo musieli pracować w państwowym kołchozie. Panowała bieda i głód. Polacy zawsze starali się trzymać ze swoimi. Obchodzili katolickie święta, w tych dniach nie pracowali w polu. Nie pozwalali dzieciom chodzić do cerkwi ale różnie z tym bywało. Sama z dziecięcej ciekawości nieraz zaglądałam do cerkwi. Po ciężkiej pracy w polu nie brakowało młodemu rozrywki. Młodzież była bardzo wesoła i zorganizowana. Wystarczyło, że ktoś miał harmonię i bałałajkę i już była zabawa. Sobota wieczór i niedziela, to był czas przyjemności.

Szwagier po długiej i ciężkiej chorobie zmarł. Zostałyśmy same – trzy kobiety: siostra, ja i jej mała córeczka. Dwoje dzieci Czesławy Lasowicz chłopczyk i dziewczynka zmarło wcześniej. Dzisiaj wystarczyłby tylko antybiotyk, ale w tamtych czasach nie dało się ich wyleczyć.

W tym całym nieszczęściu dotarła do nas radosna wiadomość, że cała rodzina wywieziona na Syberię szczęśliwie powróciła do Polski. Osiedlili się na Dolnym Śląsku w powiecie lwóweckim we wsi Pławna. Postanowiłyśmy do nich dołączyć. Staraliśmy się o to aż 3 lata. Nie było łatwo. Ja z siostrą chciałyśmy zdobyć pozwolenie w urzędach białoruskich, a rodzice w urzędach polskich. Rosjanie cały czas stwarzali trudności. Wyszukiwali a to błąd w nazwisku, to według nich pokrewieństwo się nie zgadzało, zaginęły dokumenty i trzeba było zaczynać wszystko od nowa. Szukali pretekstu, żeby nie wydać nam dokumentów wyjazdowych i robili wszystko, żeby nas zniechęcić. Nie obeszło się też bez obelg. Wyśmiewali nas i kpili – „Po co wam ta Polska?”

Pewnego razu siostra poszła do miasta, ja byłam sama w domu, a tu nagle policjant przychodzi. Serce podskoczyło mi ze strachu do gardła, ale okazało się, że ma dla nas dokumenty. To była jedna wielka radość. Wybiegłam na spotkanie siostry, żeby przekazać jej tę radosną nowinę. Rzuciłyśmy się sobie w ramiona i płakałyśmy ze szczęścia. Wreszcie wrócimy do domu! Do naszych! Jesienią 1954 roku dostałyśmy potrzebne dokumenty. Cóż to było za szczęście! Nie mogłyśmy się doczekać spotkania z rodziną w Polsce. Zawsze byłam osobą bardzo wierzącą, dlatego myślę, że dzięki mojej modlitwie przed obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej o szczęśliwe spotkanie z rodziną

moja intencja została wysłuchana. Wszyscy szczęśliwie przeżyli Syberię i spotkali się w Polsce.

Rodzinne przeżycia i zesłanie na Syberię spisała w formie wspomnień moja starsza o pięć lat siostra Janina Zienowicz, wdowa po mężu Witoldzie Zienowiczu. Jest schorowana, mieszka w Pławnej Dolnej (k. Lwówka Śląskiego)”.

Opowieści babci pozwoliły mi poznać moje „rodzinne korzenie”. Ciężkie życie, o jakim opowiedziała mi babcia budzi szacunek i zdziwienie. Trudne warunki, w jakich żyły dzieci, wzajemna pomoc bliskich, żeby przetrwać te czasy i mimo wszystko pielęgnowanie wspomnień, żeby ocalić od zapomnienia minione lata i losy rodziny Kondratowiczów. Szkoda, że z rodzinnych pamiątek został tylko obraz przedstawiający Pana Jezusa w Ogrójcu.

WYDARZENIA REGIONALNE

KRZYSZTOF TĘCZA

Seminarium kresowe

W dniu 14 maja 2016 r. w pałacu w Bukowcu zostało zorganizowane seminarium popularno-naukowe „Rozmowy o historii – drogi na Zachód”. Wśród organizatorów, poza Związkiem Gmin Karkonoskich i Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich byli: Studio Bo!, Dom Lalki Adoptowanej i Książnica Karkonoska.

Zanim jednak to nastąpiło dnia poprzedniego otwarto wystawę fotograficzną „Twierdze i pałace Rzeczypospolitej Obojga Narodów” autorstwa Jolanty Stopki, która od blisko 10 lat dokumentowała to, co poznawała podczas swoich wyjazdów na Ukrainę. Uzupełnieniem przedstawianych obrazów był występ zespołu „Sybiraczki i Kresowanie” oraz wspólne fotografowanie się z zespołem wiedźm karkonoskich.



(tekst i foto: Krzysztof Tęcza)



Wracając jednak do części głównej seminarium to na początku wystąpiła Kamila Wilk, która opowiedziała o zasobach Książnicy Karkonoskiej nt. Kresów. Następnie Jolanta Stopka opowiedziała o swojej wystawie fotograficznej oraz wspomniała o zasłużonych Kresowianach: Kazimierzu Lelo i Krzysztofie Bulzackim. Przedstawiła także Maurycego Kisielnickiego i Wojciecha Linde Apanowicza, którzy przybyli do Bukowca by podzielić się wiadomościami o swoich rodzinach.

Jeśli chodzi o hrabiego Wojciecha Linde Apanowicza to jego ród wywodzi się ze Szwecji.





W historii zapisało się wielu przedstawicieli tego rodu. Choćby Samuel Bogumił Linde, który napisał Słownik języka polskiego. Dzieło to, zawierające około 60 tysięcy haseł, jest pierwszym jednojęzycznym słownikiem polszczyzny.

Nasz mówca przyznał szczerze, że nie wie do końca w jaki sposób jego przodkowie znaleźli się na wschodzie. Wiadomo jest, że w roku 1918 jego dziadek, wzięwszy pożyczkę, odbudował dwór i zabudowania gospodarcze potrzebne do obsługi 300-hektarowego gospodarstwa. Niestety w latach następnych wszystko zostało zniszczone przez Sowieców. Rodzinie udało się uciec do Kołomyi i na Syberię.

Wojciech Linde mile wspomina swoją mamę Hannę Lindówną.

Maurycy Kisielnicki to potomek XIV-wiecznego rodu, którego wielu przedstawicieli było wojskowymi. Udokumentowany jest ich udział w bitwie pod Grunwaldem czy w wielkiej wyprawie smoleńskiej.

Jego ojciec przyjechał do Jeleniej Góry w grupie razem z panem Tabaką. Jego matka została osadzona na Łubiance, a po ogłoszeniu amnestii dotarła do Kazachstanu. Wstąpiła do tworzonej armii polskiej. Dzięki podrobionym dokumentom udało jej się wywieźć 18-ro dzieci. Alicja Kisielnicka pracowała w czasopiśmie *Polak w Indiach*.

Podsumowaniem spotkania w Bukowcu było ognisko rozpalone w parku oraz wspólne śpiewy i kosztowanie przysmaków kuchni kresowej.



ISSN 2449-741X